Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik 4(13)/2016 zima ISSN 2353-3056

Z psem w góry
Huta Julia
Muzeum Energetyki

Artyści w Karkonoszach

70. rocznica śmierci Gerharta Hauptmanna • 70. rocznica przyjazdu Wlastimila Hofmana

temat numeru 3

będzie się działo 10
• Noc sylwestrowa • Koncert noworoczny • Orszak Trzech Króli
• Giełda Staroci, Numizmatów i Osobliwości • Ski Retro Festiwal
• FIS World Snow Day • Babski Comber • Walimska Zimówka
• Zdrojowe czwartki z Filharmonią • Kochał w Biegu
• Zjazdy saniami rogatymi • Festiwal ZOOM Zbliżenia • Bieg Piastów
• Tropem wilczym • Papier do potęgi K • W matematycznym ujęciu

bez słów 24

ludzie i miejsca
Magdalena Drewnicka: Artyści w Karpaczu 34
Joanna M. Chmielewska: Hauptmannowie 51
Feliks Rosik: Rok 2017 w Szklarskiej Porębie Rokiem Wlastimila Hofmana 59
Joanna M. Chmielewska: Wlastimil Hofman 63
Sylwia Matyja: Śląskie szkło. Huta Julia w Piechowicach 70
Wojciech Głodek: Karkonosze Friedricha 87
Joanna M. Chmielewska: Jan Sztaudynger 99
Jolanta Kluba, Wojciech Głodek: Muzeum Energetyki Jeleniogórskiej 104
Rafał Wietrzyński: Fabryka Zegarów Heinricha Endlera 117

wycieczki i spacery
Grzegorz Koczubaj: Spacer Borowym Jarem 124
Joanna Sadłowska: Słoneczny Słonecznik 131
Anna Jędrzejewska: Z psem przed siebie, czyli jak się do tego zabrać? 137
Michał Machnacki: Granią ze Szklarskiej Poręby do Karpacza 147

koleją po dolnym śląsku
Rafał Wietrzyński: Katastrofa kolejowa pod Świebodzicami 160

korespondencja z regionu
Kongres Turystyki Polskiej w Świdnicy 168

dolnośląska biblioteczka
• Sudeckie schroniska turystyczne • Pod Wędrownym Aniołem 180
• Neonówka. Schody do nieba • Korona Polskich Gór • Nefrytowa szpilka

za pomoc w realizacji tego wydania dziękujemy:

Szklarska Poręba to kurort między Górami Izerskimi a Karkonoszami, który od dawna przyciągał swoim urokliwym położeniem turystów i osiedlających się tu przybyszy. Gdy pod koniec XIX wieku zaczęły się tworzyć w Europie kolonie artystyczne, także pod Karkonosze zaczęli przybywać przedstawiciele świata sztuki. Jednym z najwybitniejszych był późniejszy noblista Gerhart Hauptmann, który przyjechał tu wraz ze swoim bratem Carlem w 1890 roku. Zamieszkał najpierw w obecnej Szklarskiej Porębie Średniej, a później przeniósł się do Jagniątkowa, gdzie dziś w jego dawnej willi funkcjonuje muzeum jego imienia.

W tym roku obchodziliśmy 70. rocznicę śmieci wielkiego pisarza. W przyszłym roku natomiast będziemy obchodzić 70. rocznicę przybycia innego wielkiego twórcy w Karkonosze - malarza symbolisty Wlastimila Hofmana, który przez wielu uważany jest za kontynuatora bogatej przedwojennej tradycji kolonii artystycznych w Szklarskiej Porębie.

Stąd właśnie zimowy numer naszego kwartalnika zdecydowaliśmy się poświęcić w dużej części artystom, których przyciągnęły i zauroczyły Karkonosze, którzy znaleźli tu swoje miejsce na ziemi lub inspirację do dalszego tworzenia. [red]

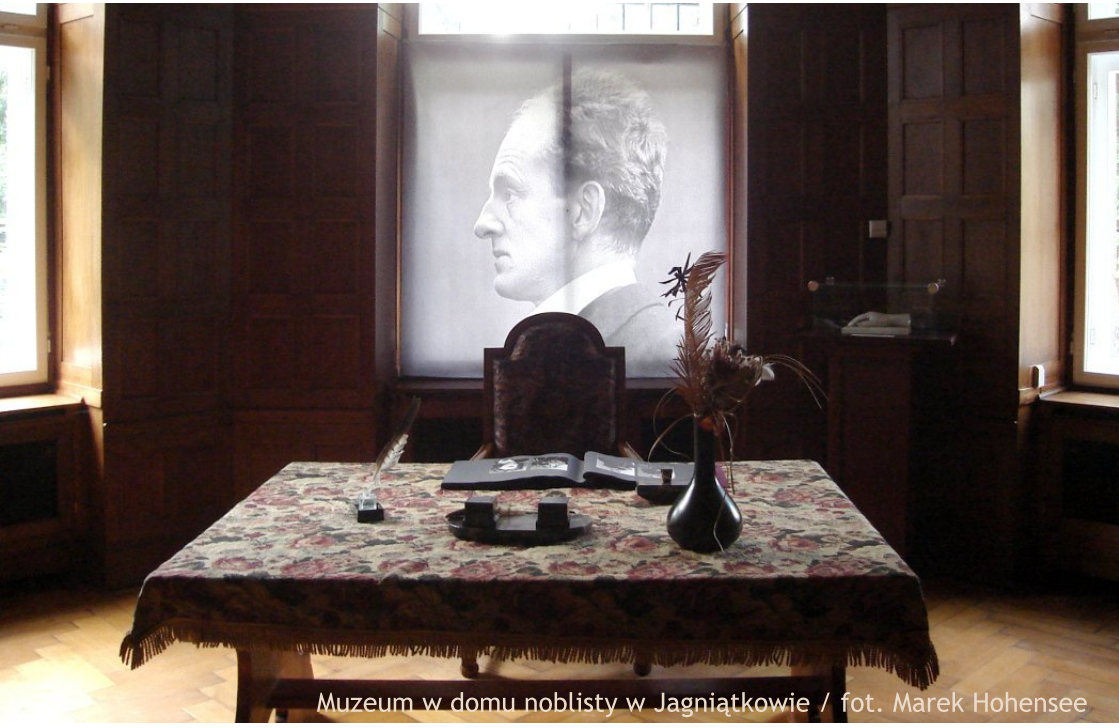

Muzeum w domu noblisty w Jagniątkowie / fot. Marek Hohensee

Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik nr 4(13)/2016 (zima)
Magazyn poświęcony jest krajoznawstwu i historii regionalnej oraz promocji turystyki indywidualnej i transportu publicznego regionu dolnośląskiego.

wydawnictwo bezpłatne

adres redakcji
skrytka pocztowa 2388
50-131 Wrocław 3
tytuł zarejestrowany w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu Rej. Pr. 3208
ISSN 2353-3056
facebook.com/przystanekd
instagram.com/przystanekd
twitter.com/przystanekd
www.przystanekd.pl
redakcja@przystanekd.pl
tel. +48 739 047 839

redaktor naczelny
Wojciech Głodek

współpraca
Jolanta Kluba

niektóre prawa zastrzeżone

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie niezmodyfikowanego wydania na innych stronach www i nośnikach pod warunkiem zapewnienia bezpłatnego dostępu do niego. **Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam.**

wydawca
Wojciech Głodek
INSTYTUT DOLNOŚLĄSKI KRS 0000502837
Regon 022395582 • NIP 8982207071
zarejestrowany 20.03.2014 r. w VI Wydziale Gospodarczym KRS dla Wrocławia Fabrycznej
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław 3
wydawca@przystanekd.pl
instytutdolnoslaski.org

Dokładnie 50 lat temu, w numerze 28 Nowin Jeleniogórskich z 1966 roku red. Szymczak opublikował zbiór krótkich wywiadów o tym, *nad czym pracują i jakie mają plany na najbliższą przyszłość – jeleniogórscy twórcy?*

Za osiemdziesięciopięcioletniego wtedy Wlastimila Hofmana mówi żona Ada – *mąż czuje się już dobrze i nadal, jak dawniej, maluje po kilka godzin dziennie*. Jednak Hofman w swoim domu w Szklarskiej Porębie nie tylko maluje, pisze też wiersze, gdyż *traktuje poezję jako relaks po męczącej pracy malarskiej*.

Józef Gielniak przebywa w sanatorium w Bukowcu, kończy kolejny linoryt. *Jest to wizja zjawisk ewolucyjnych, symbol rozwijającego się życia, od narodzin do śmierci*. Rozpoczął też pracę nad dwoma exlibrisami. Co będą przedstawiały? *Pierwszy, doktora Gardulskiego w masce, przy ope-*

Na okładce:
Der Wanderer über dem Nebelmeer (pol. *Wędrowiec nad morzem mgieł*) Caspara Davida Friedricha, olej na płótnie, 1818, obecnie w Kunsthalle w Hamburgu.

racji, w scenerii Bukowca. Z Wejmanem trochę trudniej. (...) Przedstawię go na starym bicyklu w tonie niefrasobliwym, pogodnym...

Malarz Leon Turalski jest tu na wczasach, jednak nie tylko odpoczywa, także maluje. *Pejzaże i kwiaty... Oleje, akwarele.*

Za pisarza Georga Bidwella z Przesieki też mówi żona. *Mąż pracuje nad zbeletryzowaną powieścią Wellingtona, tytułu jeszcze nie ma, a oprócz tego drobiazgi dla Magazynu „Gazety Robotniczej", no i... hodowla owiec. To jego druga pasja.*

Stanisław Bernatt z Jeleniej Góry prezentuje nowy tomik swych prac. *To moje najnowsze „wielkie" dzieło. Skończyłem także opowiadanie o głośnej katastrofie amerykańskiego okrętu „Halo, halo, Threslier". (...) Byłem 2 miesiące w klinice. Powiem szczerze, że nie mogłem wyleżeć.*

Muzyk Bogdan Dominik przebywa w Jeleniej Górze na urlopie. *Po ostatnich zajęciach w „Kabarecie Piosenki", odpoczywam. To była ogromna praca. Piętnaście tekstów piosenek!*

Za mieszkającego w Szklarskiej Porębie fotografika Jana Korpala mówi żona – *Janek cały czas w terenie. (...) Fotografuje piękno Opolszczyzny. Ostatnio otrzymałam od niego kartkę z Koźla, wyjeżdża do Kędzierzyna... [•]*

NOWINY JELENIOGÓRSKIE

rozmawia red. Szymczak

Co nowego mistrzu?

Hofman

Bernatt

Gielniak

Dominik

Korpal

...urlopy

Turalski

Bidwell

Nestor polskiego malarstwa Władimił Hofman w swojej pracowni w Szklarskiej Porębie fot. J. Korpal

Za co płacimy i co dostajemy zamiast owoców i warzyw • Nie dajmy się!

„Wrzesień jaleniogórski"!

Odpowiedzialność za błąd

Gerhart Hauptmann urodził się 15 listopada 1862 w Bad Salzbrunn (obecnie Szczawno-Zdrój). Jego ojciec Robert Hauptmann był zarządcą hotelu "Zur Preussischen Krone" (dosł. "Pod Pruską Koroną", istnieje do dziś jako sanatorium, po wojnie przemianowane na "Korona Piastowska"). Gerhart był jego czwartym, najmłodszym dzieckiem, w lokalnej szkole nie miał najlepszej opinii. Nie lepiej było także w gimnazjum we Wrocławiu; nie umiał przystosować się do pruskiego drylu, a częste choroby sprawiały, że nie uczestniczył w życiu szkolnym i nie miał zbyt wielu przyjaciół. Gdy nie zdał egzaminu do szkoły oficerskiej, trafił do Staatliche Akademie für Kunst und Kunstgewerbe (Państwowa Akademia Sztuki i Rzemiosła Artystycznego) w Breslau, gdzie uczył się rzeźbiarstwa. Przez pewien czas próbował utrzymać się jako rzeźbiarz w Rzymie, jednak nie osiągnął większych sukcesów. Gdy w końcu wrócił do Niemiec, po krótkim epizodzie w Dreźnie rozpoczął studia historyczne na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Tam też w końcu zajął się teatrem, którym zainteresował się już jako gimnazjalista, gdy jeszcze z ojcem chodził oglądać we Wrocławiu przedstawienia. W Berlinie też ożenił się z Marią Thienemann, siostą żony swojego starszego brata Carla (tak właściwie poznali się właśnie na ślubie Carla kilka lat wcześniej).

Podczas górskiej wycieczki w 1890 roku Hauptmannowie zachwycili się urokiem krajobrazu Szklarskiej Poręby i rok później sprowadzili się tu razem z rodzinami. Bracia mieszkali razem niedługo, już wkrótce Gerhart wyprowadził się do pobliskiego Agnetendorf (obecnie Jagniątków, dzielnica Jeleniej Góry). 30 października 1899 roku kupił działkę i zaangażował berlińskiego architekta Hansa Grisebacha do budowy domu, która pochłonęła niebagatelną kwotę 200 tysięcy marek. Wprowadził się do niego dwa lata później; był nim zachwycony, podobnie jak okolicą. Napisał wtedy: "Mój dom jest moim zamkiem. Odnalazłem swoją ojczyznę."

To właśnie w Karkonoszach powstały najwybitniejsze dzieła Hauptmanna włącznie z najbardziej znanym dramatem "Tkacze". Sztuka składa się z pięciu aktów, z których każdy dzieje się w innym miejscu, wszystkie zaś łączy wspólne tło, czyli powstanie tkaczy śląskich w Górach Sowich w 1844 roku. W 1912 roku otrzymał Nagrodę Nobla za swą "wybitnie płodną i różnorodną tworczość". Hauptmann był wtedy jednym z najwybitniejszych pisarzy niemieckich. Mimo że nie należał do zwolenników nazistów i wcześniej głośno opowiadał się za Republiką, po dojściu Hitlera do władzy nie zdobył się na słowa krytyki. W 1942 roku Gauleiter Dolnego Śląska zorganizował oficjalne, państwowe obchody 80. urodzin pisarza. Noblista trafił na ułożoną przez Josepha Goebbelsa listę najważniejszych artystów w III Rzeszy (Gottbegnadeten–Liste, dosł. "Lista obdarzonych łaską Bożą'). Również po zakończeniu wojny cieszył się wielką estymą wśród nowej polskiej i radzieckiej administracji - wobec decyzji o przyłączeniu Dolnego Śląska do Polski otrzymał zapewnienie o zorganizowaniu dla niego i jego otoczenia - "towarzyszy intelektualistów niemieckich" - specjalnego pociągu, którym będzie mógł wyjechać do Drezna lub Berlina. Niestety pisarz nie doczekał już organizacji transportu. Umarł w swojej willi w Jagniątkowie 6 czerwca 1946 roku. [red]

fot. Karl Scolik
Österreichische Nationalbibliothek, Bildarchiv Austria Pf 5.006 : D (3)

Wlastimil Hofman urodził się 27 kwietnia 1881 w Karlinie, wtedy samodzielnej miejscowości, a od 1900 roku dzielnicy Pragi. Jego ojciec Ferdynand Hofman był Czechem, a matka Teofila Muzyka - Polką. Był szóstym dzieckiem, jednak cztery pierwsze siostry zmarły w dzieciństwie, przeżył tylko starszy brat Stanisław. Ośmioletni Vlastimil przeniósł się z rodzicami do Krakowa, gdzie później zaczął uczęszczać na wieczorowe kursy rysunku w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych do Floriana Cynka. Na studia został przyjęty warunkowo, gdyż nie ukończył gimnazjum i nie zdał matury.

Swoje obrazy Hofman zaprezentował po raz pierwszy w wieku 19 lat na dorocznej wystawie "Sztuki" w Krakowie. Do I wojny światowej dużo malował i wystawiał, należał do kilku różnych grup artystycznych. Większość czasu wojennego spędził pod Pragą, a z powodu wypadku podczas jazdy konnej uniknął służy wojskowej. Przed końcem I wojny światowej powrócił do Krakowa, gdzie pozostał aż do wybuchu kolejnej. W 1918 roku uznał że bardziej czuje się Polakiem niż Czechem i zamiast Vlastimil Hofmann zaczął się podpisywać Wlastimil Hofman.

Po wojennej tułaczce, która zagnała go aż na Bliski Wschód, powrócił w 1946 roku do Krakowa. Nie został tu jednak długo. Krytyczna ocena jego pierwszej powojennej wystawy przyspieszyła wyjazd. W 1947 roku dotarł na Ziemie Zachodnie i zamieszkał w niewielkim domku przy ulicy Matejki 14 w Szklarskiej Porębie, który do dziś nazywany jest Wlastimilówką. Stał się tym samym kontynuatorem karkonoskiej kolonii artystycznej istniejącej w Szklarskiej Porębie Średniej od końca XIX wieku. Malował do końca życia. Bardzo lubił tematykę sakralną, do jego bardziej znanych dzieł z tego okresu należą: namalowany w 1953 roku dla kościoła Franciszkanów w Szklarskiej Porębie Górnej cykl czterech Ewangelistów oraz - w 1957 roku - tryptyk Adoracja Dzieciątka dla kościoła w Szklarskiej Porębie Dolnej. W Karkonoszach namalował też sporo autoportretów i portretów dziecięcych, z których słynął już w okresie międzywojennym.

Zmarł 6 marca 1970 roku w wieku 89 lat, dokładnie w dwa lata po swojej ukochanej żonie i modelce Adzie. Zostawił po sobie dosłownie tysiące obrazów, jak pisał Jan Sztaudynger: *Największym wrogiem Hofmana jest jego zaiste czeska pracowitość. Maluje on bez względu na porę dnia i roku. Bez względu na to czy ma, czy nie ma odpowiedniego modela. I przez to obok płócien natchnionych ma on na swoim koncie zapisanych wiele utworów słabszych i mniej udanych. Te płótna przysłoniły niejednemu z krytyków całokształt twórczości Hofmana i stały się przyczyną sądów dlań krzywdzących. Tym bardziej, że ukazała się pewna liczba falsyfikatów*. Obecnie kolekcje obrazów Hofmana mają Muzea Narodowe w Krakowie, Poznaniu i Warszawie, około stu obrazów posiadają Franciszkanie, a 41 obrazów i 88 szkiców i rysunków Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze.[red]

fot. autor nieznany (przed 1934)

31.12

W tym roku Miasto Jelenia Góra zaprasza w sylwestrowy wieczór zarówno na rynek, gdzie koncert da jeden z najpopularniejszych zespołów na polskiej scenie muzycznej, "Poparzeni Kawą Trzy" - powstali w 2005 roku z inicjatywy dziennikarzy Radia Zet i RMF FM; oraz do Teatru im. Cypriana Kamila Norwida, gdzie odbędzie się premiera spektaklu "Szalone nożyczki". Ta kryminalna farsa gościła już na scenach wielu europejskich i polskich teatrów. Teraz debiutuje w Jeleniej Górze. Publiczność wraz z aktorami musi rozwiązać zagadkę brutalnego morderstwa. Dedukcja i zabawa - każdy może być Sherlockiem Holmesem. Rozpoznając znane im miejsca, rozumiejąc aluzje do popularnych osób, widzowie szybko ulegają teatralnej iluzji i chętnie włączają się do zabawy, uczestnicząc w wykryciu sprawcy. [umjg/fot. Karol Soból]

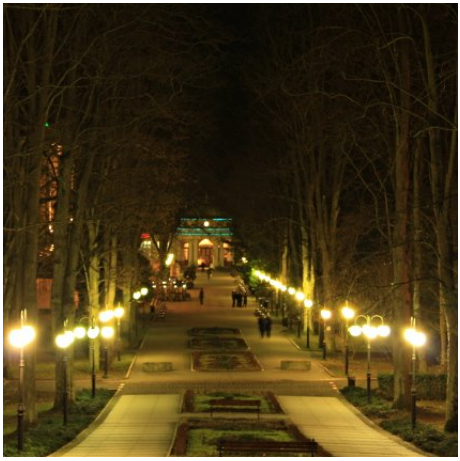

1.01

Ileż to razy marzymy o tym, aby zanucić lub kto odważniejszy - zaśpiewać melodie od dzieciństwa brzmiące w naszych uszach? Wielu z nas swoje pierwsze muzyczne spotkanie miało właśnie z operetką. Dzięki solistom Narodowego Teatru Operetki Kijowskiej, wspieranych słowem przez konferansjera - będzie można powrócić wspomnieniami do ulubionych szlagierów. Podczas Gali Noworocznej w Polanicy-Zdroju usłyszymy w znakomitym wykonaniu najpiękniejsze arie i duety operowe i operetkowe, m.in "Miłość to niebo na ziemi", "Wielka sława to żart", "Usta milczą dusza śpiewa" i wiele, wiele innych wspaniałych utworów zaliczanych do kanonu muzyki rozrywkowej. Artyści większość programu wykonają w języku polskim, a towarzyszyć im będzie para tancerzy baletowych z Teatru Wielkiego w Poznaniu.

[tpz/fot. wg]

6.01

Już po raz czwarty parafie św. Jana Chrzciciela w Zgorzelcu i św. Wacława w Görlitz zapraszają mieszkańców obu miast do wspólnego kolędowania i udziału w największych ulicznych jasełkach. Tym razem jedyny w swoim rodzaju, transgraniczny Orszak rozpocznie się punktualnie o godzinie 13.00 przy kościele Świętej Trójcy na Obermarkt w Görlitz. Stąd trzej królewscy przewodnicy: Kacper, Melchior i Baltazar poprowadzą uczestników w stronę mostu Staromiejskiego i dalej ulicami Zgorzelca, do zgorzeleckiego domu kultury, gdzie sceną Pokłonu Trzech Króli zakończymy tegoroczne obchody święta. [umz]

8.01, 5.02, 5.03

Świdnicka Giełda Staroci, Numizmatów i Osobliwości już od ponad 30 lat przyciąga tłumy miłośników przedmiotów, których nie kupimy na co dzień w zwykłych sklepach. Zawsze w każdą pierwszą niedzielę miesiąca świdnicki Rynek oraz przyległe uliczki już od wczesnych godzin porannych szczelnie wypełniają liczne stoiska, na których możemy nabyć meble, dzieła sztuki, biżuterię, porcelanę, stare zegary oraz mnóstwo innych interesujących przedmiotów. W swoim żywiole będą także kolekcjonerzy dawnych monet i banknotów oraz starych widokówek oferowanych czasami w bardzo atrakcyjnych cenach. Wszyscy, którzy lubią starocie, powinni przynajmniej raz zawitać na to wydarzenie do Świdnicy – z pewnością zechcą na nie wracać. [ad/fot. sok]

14.01, 4.02, 11.03

Miłośnicy narciarstwa w stylu retro już tradycyjnie spotykają się co roku w Szklarskiej Porębie. W ramach Ski Retro Festiwal Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Aktywności Lokalnej w Szklarskiej Porębie organizuje kilka wydarzeń, które zawsze przyciągają całą rzeszę fanów zarówno z Polski, jak i zza granicy. W tym roku w styczniu odbędzie się Slalom Retro na Ski Arena Szrenica, Bal Retro na lodowisku w Parku Esplanada oraz Izerski Bieg Retro na trasach wokół Stacji Turystycznej "Orle". Fantazja uczestników w przygotowaniu retro-strojów robi wielkie wrażenie, a ich starania w skompletowaniu zabytkowego sprzętu, jak narty, buty i kije, budzą wielki podziw.

[szp/fot. Piotr Kaczmarski]

?

Każdego dnia na Dolnym Śląsku dzieje coś ciekawego, jest miejsce które warto odwiedzić.

Jeśli chcesz być na bieżąco, odwiedzaj codziennie nasze profile:

facebook.com/przystanekd
instagram.com/przystanekd
twitter.com/przystanekd

A może i Ty wiesz o czymś, o czym warto napisać? Chcesz nas zaprosić na jakieś wydarzenie lub pochwalić się swoimi zdjęciami? Czekamy:

redakcja@przystanekd.pl
mms: 739 047 839

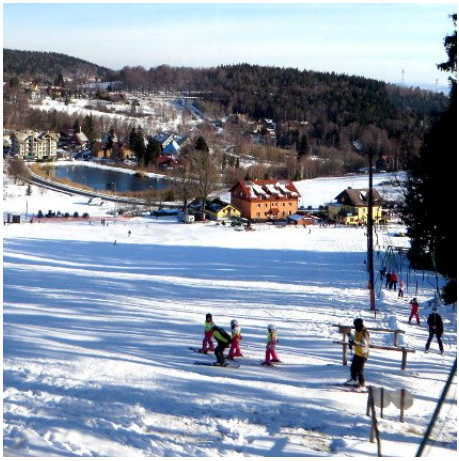

15.01

FIS World Snow Day, czyli Światowy Dzień Śniegu, został wymyślony przez Międzynarodową Federację Narciarską (FIS). Jest częścią kampanii "Bring Children to the Snow", która ma promować sporty zimowe wśród najmłodszych. Dzień Śniegu odbywa się od 2012 roku w tym samym dniu w drugiej połowie stycznia w wielu miastach na świecie. Szklarska Poręba zaprasza w tym roku z tej okazji na Święto Śniegu pod Szrenicą. Będą zawody narciarskie dla dzieci i całych rodzin oraz "padaśniegowa" gra terenowa dla narciarzy i snowboardzistów na Ski Arena Szrenica.

[szp/fot. wg]

21.01

W sobotę 21 stycznia w Świetlicy Wiejskiej w Zagórzu Śląskim "płeć piękna" po raz kolejny spotka się na Babskim Combrze. Styczniowa, już piąta edycja, tej kostiumowej imprezy, która od dłuższego czasu cieszy się niesłabnącym powodzeniem, ponownie przebiegała będzie pod nietypowych hasłem. Jakim? To niestety jeszcze niespodzianka. Ubiegłoroczna zabawa pn. "Wszystkie jesteśmy hipiskami" obfitowała w tańce, śpiewy, różnorodne konkursy oraz oczywiście przebieranki. [ckitw]

22.01

Rajd samochodowy "Walimska Zimówka" jest organizowany przez grupę Walim Rajdowy w tym roku po raz piąty. Z roku na rok cieszy się coraz większą popularnością, zarówno wśród zawodników, jaki i kibiców. 22 stycznia na trzyipółkilometrowej trasie biegnącej przez słynne "Walimskie Patelnie" oraz Przełęcz Walimską, zostanie rozegrana kolejna edycja tej cyklicznej imprezy.

Rajd ten rozpoczyna jednocześnie tegoroczne zmagania kierowców w Rajdowym Samochodowym Pucharze Sudetów 2017. W zimowych warunkach będzie rywalizowało ze sobą ponad 100 załóg. [ckitw]

9.02, 9.03, 16.03

"Zdrojowe czwartki z Filharmonią Dolnośląską" to cykl, który na pewno zainteresuje wszystkich melomanów. Już 9 lutego na deskach Zdrojowego Teatru Animacji w Jeleniej Górze zagości kwartet "Camerata Pro" z muzyką folkową, taneczną i filmową. Dokładnie miesiąc później w "Koncert Opera in Love" wystąpi Sonori Ensemble. W programie liryczne romanse, brawurowe i efektowne popisy wokalne, ponadczasowe przeboje operetkowe i barwne sceny z dzieł najsłynniejszych kompozytorów, Mozarta, Verdiego, Pucciniego, Moniuszki, Delibesa, Gounoda, Offenbacha, Straussa, Kalmana, Gershwina. W świat tematyki miłosnej wprowadzą romantyczny Nemorino z „Napoju miłosnego”, czarująca Carmen, szalony i uwodzicielski Don Juan, czy nieszczęśliwa Halka. A już tydzień później - koncert "Bardziej żartem niż serio". [umjg/fot. wg]

11.02

Czy można kochać w biegu? Centrum Sportu i Rekreacji w Walimiu przekonuje że tak i po raz drugi - z okazji "Walentynek" - organizuje II Rekreacyjny Bieg Zakochanych "Kochał w Biegu". Impreza skierowana jest do wszystkich miłośników aktywnego wypoczynku na świeżym powietrzu. Każdy uczestnik otrzyma walentynkowe serduszko, na którym będzie mógł wpisać imię ukochanej osoby i tak przebiec dystans ponad 3 km. Każdy z uczestników otrzyma także pamiątkowy certyfikat ukończenia tego jedynego w swoim rodzaju biegu. [ckitw]

18.02

Zimowe zjazdy na saniach rogatych to rozrywka dostępna w Kowarach od ponad dwóch wieków! Od kilkunastu lat tradycja zabawy, której przed laty oddawała się w Karkonoszach miejscowa elita, zamożni kuracjusze i turyści, przeżywa prawdziwy renesans. Emocje związane ze zjazdami saniami rogatymi nie polegają tylko na podziwianiu pięknych górskich widoków. Relaksacyjne zjazdy zmieniają się często w szalone wyścigi krętymi leśnymi ścieżkami. Zjazdom tradycyjnie towarzyszyć będzie impreza rekreacyjna odbywająca się na placu przy „Sztolniach Kowary". Nie zabraknie tam występów artystycznych i konkursów dla widzów. Impreza odbędzie się oczywiście w wypadku sprzyjających warunków śniegowych. [umk]

fot. Marcin Oliva Soto

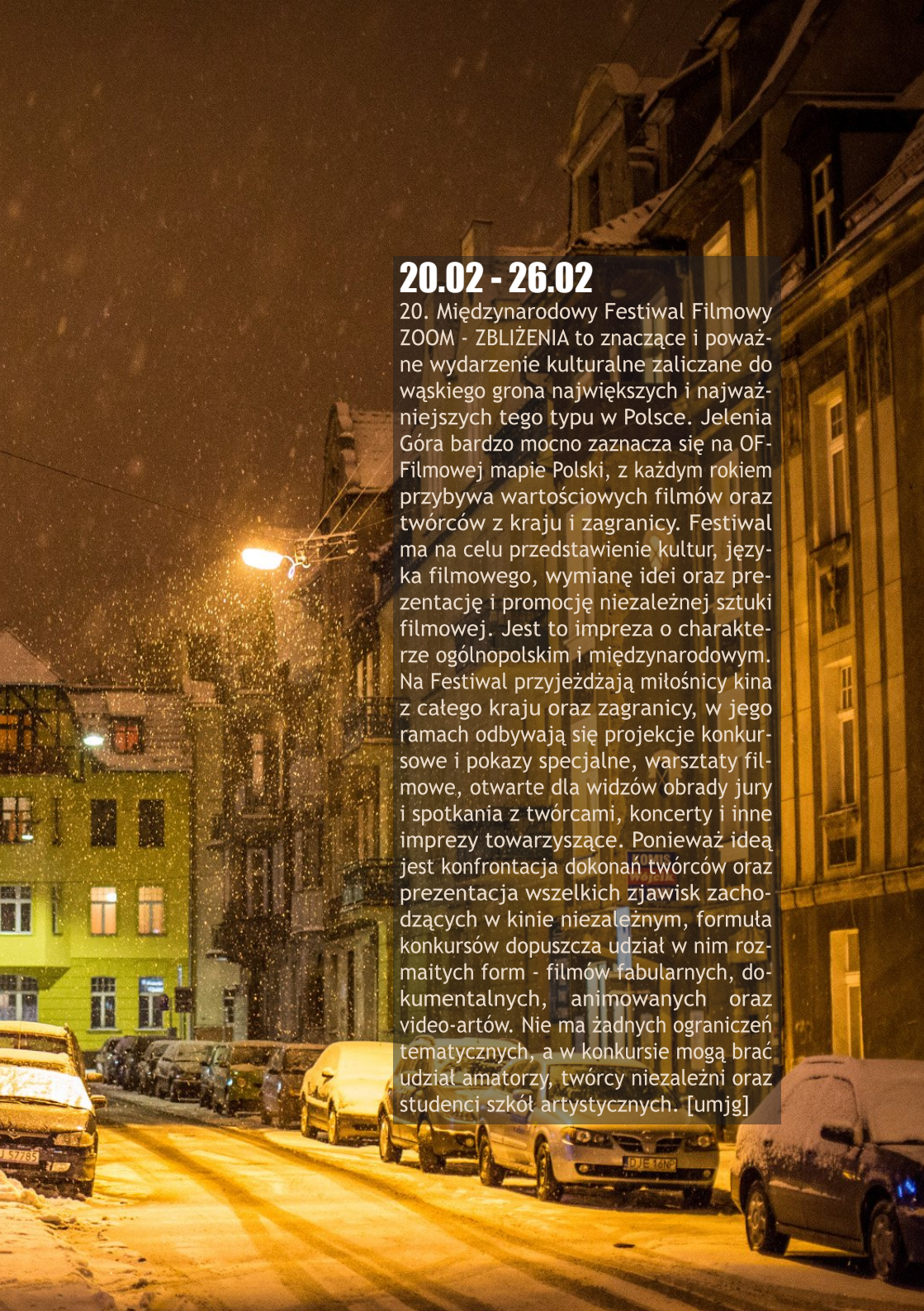

20.02 - 26.02

20. Międzynarodowy Festiwal Filmowy ZOOM - ZBLIŻENIA to znaczące i poważne wydarzenie kulturalne zaliczane do wąskiego grona największych i najważniejszych tego typu w Polsce. Jelenia Góra bardzo mocno zaznacza się na OF-Filmowej mapie Polski, z każdym rokiem przybywa wartościowych filmów oraz twórców z kraju i zagranicy. Festiwal ma na celu przedstawienie kultur, języka filmowego, wymianę idei oraz prezentację i promocję niezależnej sztuki filmowej. Jest to impreza o charakterze ogólnopolskim i międzynarodowym. Na Festiwal przyjeżdżają miłośnicy kina z całego kraju oraz zagranicy, w jego ramach odbywają się projekcje konkursowe i pokazy specjalne, warsztaty filmowe, otwarte dla widzów obrady jury i spotkania z twórcami, koncerty i inne imprezy towarzyszące. Ponieważ ideą jest konfrontacja dokonań twórców oraz prezentacja wszelkich zjawisk zachodzących w kinie niezależnym, formuła konkursów dopuszcza udział w nim rozmaitych form - filmów fabularnych, dokumentalnych, animowanych oraz video-artów. Nie ma żadnych ograniczeń tematycznych, a w konkursie mogą brać udział amatorzy, twórcy niezależni oraz studenci szkół artystycznych. [umjg]

25.02 - 5.03

Bieg Piastów to najstarsza i największa w Polsce impreza narciarska, w której uczestnicy kilka tysięcy osób. Pierwszy bieg odbył się w 1976 roku i wzięło w nim udział 531 osób. Na Polanie Jaskuszyckiej w początkach nie było nic - stał stary pociąg z wagonami, w których zawodnicy przebierali się. Było tam też biuro zawodów. Od tego czasu odbywał się co roku za wyjątkiem stanu wojennego. W tym roku spodziewanych jest 6 tysięcy zawodników i dodatkowe 3 tysiące kibiców. W ciągu dwóch weekendów rozegrane zostanie 8 biegów. [szp]

26.02

Już po raz drugi w Kowarach zorganizowany zostanie bieg poświęcony pamięci Żołnierzy Wyklętych pn. „Tropem Wilczym". Kowarska impreza będzie częścią ogólnopolskiej akcji. Trasa biegu - 1963 metry - poprowadzona będzie ulicami malowniczej Kowarskiej Starówki. Cała ta impreza jest inicjatywą kulturalno-sportową, w której tak naprawdę nie liczy się osiągnięty wynik. Zwycięzcami biegu będą wszyscy, którym uda się dobiec do mety. Każdy uczestnik otrzyma również pamiątkowy dyplom i medal. Na imprezie nie zabraknie wydarzeń i atrakcji dla dzieci i młodzieży. [umk]

BEZPIECZNY PRZEJAZD

PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

Zarządca narodowej sieci linii kolejowych

Przeskoczysz?

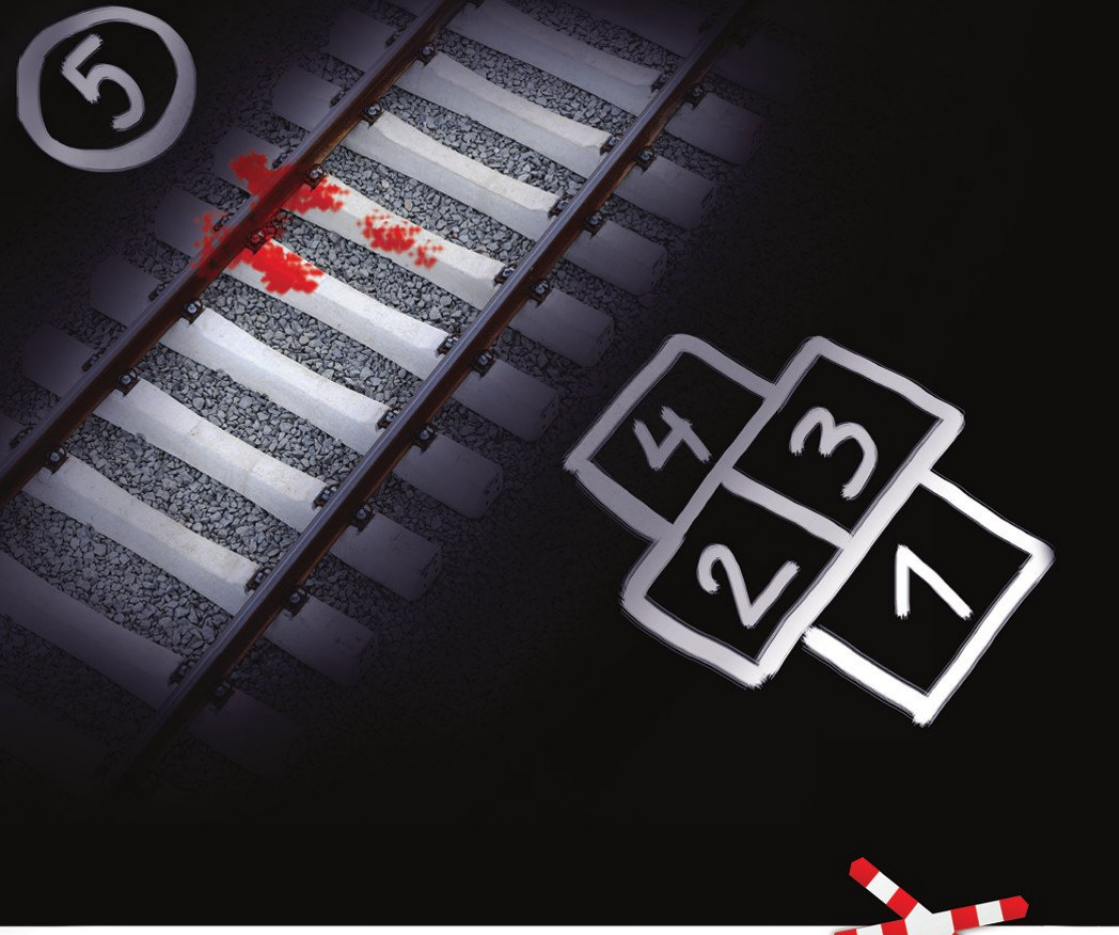

www.bezpieczny-przejazd.pl

SZLABAN NA RYZYKO!

Patronat honorowy:

Partnerzy:

Patronat:

Patronat medialny:

Zima w Muzeum Papiernictwa

[fot. (4x) archiwum Muzeum]

Muzeum Papiernictwa w Dusznikach Zdroju jest jedyną placówką muzealną w Polsce zajmującą się szeroko pojętą tematyką papiernictwa. Od 1968 roku gromadzi, opracowuje i udostępnia zbiory z zakresu dziejów papiernictwa, drukarstwa, historii Dusznik Zdroju, współpracuje z artystami tworzącymi dzieła sztuki z papieru. posiada unikatowy księgozbiór z zakresu historii papiernictwa. Mieści się w jedynym w swoim rodzaju zabytku techniki, położonym nad Bystrzycą Dusznicką, unikatowym siedemnastowiecznym młynie papierniczym. Poza wystawamy stałymi Muzeum organizuje także liczne i bardzo różnorodne wystawy czasowe.

Papier do potęgi K

O tym, że papier jest materiałem niezwykle uniwersalnym, wiadomo nie od dzisiaj. Znany głównie jako nośnik przekazów tekstowych lub produkt higieniczno-sanitarny, sam rzadko staje się obiektem fascynacji artystycznej.

Wystawa „PaperK", ukazująca zastosowanie papieru jako artystycznego tworzywa, została otwarta 9 grudnia 2016 roku. Pokazuje, jak w twórczości dwóch artystek z przeciwległych krańców Unii Europejskiej, Hiszpanii i Polski, papier przybiera przeróżne formy: biżuterii, przestrzennych rzeźb, przedmiotów użytku domowego (np. papierowych lamp), jak również

elementów garderoby (np. nakryć głowy).

Autorki związane są z miastami, które otrzymały tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku: Kikis Alamo pochodzi z Hondarribii, miejscowości położonej w pobliżu San Sebastián, a Krystyna Dyrda-Kortyka jest wrocławianką. Stąd pomysł wspólnej wystawy pod nazwą „PaperK", kodującą w wykładniku potęgi imiona obu artystek.

Kikis Alamo i Krystyna Dyrda-Kortyka są absolwentkami wyższych szkół plastycznych. Na ich twórczość wpływa zarówno pochodzenie, jak i miejsce zamieszkania. Szerokość geograficzna i charakterystyczna dla niej roślinność powodują, że Krystyna posługuje się głównie masą celulozową, Kikis natomiast swoje obiekty tworzy z włókien lnianych, kozo, abaki. Ich prace różni technika, forma, tematyka, a także klimat. Ulubionym tematem Kikis jest architektura, przez nią samą nazwana „bajkową". Są to miniaturowe budowle, utrzymane w jednakowej, surowej kolorystyce, które rozbudzają wyobra-

źnię. Przeciwieństwem są prace Krystyny, w których główną rolę odgrywa gra kolorów, oddająca piękno miejsc i przyrody. Powstałe w ten sposób kompozycje przyrównać można do obrazów, tylko że namalowanych „papierem". Prace artystek, choć tak różne, mają wspólny mianownik – jest nim profesjonalizm i miłość do papieru.

Obie artystki są mocno zaangażowane w społeczny dyskurs dotyczący sposobów spędzania wolnego czasu przez seniorów. Dzięki swej twórczości bezpośrednio włączają się w promocję artystycznej aktywizacji osób starszych.

Baskijsko-dolnośląski projekt wystawienniczy doskonale wpisuje się w cykl wydarzeń zaplanowanych w ramach Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016 oraz Europejskiej Stolicy Kultury San Sebastián 2016. Jego międzynarodowy charakter, skonfrontowanie prac artystek, dobór specyficznego środka wyrazu, jakim jest papier, ma prowokować do dyskusji o współczesnej sztuce europejskiej, w tym wypadku – o sztuce papieru.

Wystawa czynna będzie dla zwiedzających do końca marca 2017 roku. [Beata Dębowska, Marta Nowicka]

W matematycznym ujęciu

"Druga strona" Jerzego Olka to dość nietypowa ekspozycja, zważywszy na sposób w jaki artysta komunikuje się z odbiorcą. Na wystawie zaprezentowana zostanie instalacja z płyt CD, na których autor naniósł proste rysunki. Za pomocą rysunków artysta chce przekazać skomplikowany i wieloznaczny obraz świata i kosmosu.

Wystawa ta to niejako przewodnik po obszarach nie tylko wyobraźni artysty, ale również życiorysu i wrażliwości. Sztuka Jerzego Olka przenosi nas w inne rejony rzeczywistości. Te, które stanowią matematyczną konstrukcję. Rysunki są w pewnej sferze odpowiednikiem równań matematycznych – powiedziała poetka Ewa Sonnenberg podczas wernisażu wystawy.

Ekspozycja dostępna będzie dla zwiedzających do końca lutego 2017 roku. [Dorota Zielińska-Pytlowany]

face

To właśnie tym zdjęciem, wykonanym w lutowe przedpołudnie w parku otaczającym da
3 lata temu, na koniec 2013 roku naszą działalność na Facebooku. Wtedy w ostatnich
znajomych i pierwszych Czytelników. **Dziś mamy 24 tysiące Czytelników, z których**

fot. Wojciech Głodek, 17 luty 2013 roku

book.com/przystanekd

awną willę Hauptmanna "Łąkowy Kamień", rozpoczęliśmy jako winietką, dokładnie
dniach roku zaprosiliśmy do polubienia "Przystanek Dolny Śląsk" nieco ponad 100
n ponad 1700 każdego dnia komentuje, udostępnia i reaguje na nasze posty!

Otwarcie weekendowej wystawy "Słońce, powietrze i dom" na Kaiserdamm w Berlinie. Na zdjęciu widać charakterystyczne gesty przemawiającego Gerharta Hauptmanna. Maj 1932 roku.

źródło: Bundesarchiv, Bild 102-13488 / CC-BY-SA

Na następnej stronie: Gerhart Hauptmann świętuje 15 listopada 1932 roku swoje 70. urodziny. Na zdjęciu wraz z małżonką.

źródło: Bundesarchiv, Bild 102-14016 / CC-BY-SA

Zdjęcie grupowe członków Akademickiego Towarzystwa Nauk Przyrodniczych w Jenie z 1882 roku. Stoją od lewej: von Sabler, Simon i Gerhart Hauptmann. Siedzą od lewej: Holthausen, Carl Hauptmann, prof. Boehtlingk, Meo.

źródło: Mit Gerhart Hauptmann, Erinnerungen und Bekenntnisse aus seinem Freundeskreis, 1922

Młody Gerhart Hauptmann jako rzeźbiarz w swoim atelier Rzymie (przed 1904).

źródło: The lamp. Ser.3 v.29.

Skrzypek Ruggiero Ricci był cudownym dzieckiem. Urodził się w 1918 roku w San Bruno w Kalifornii. W wieku 10 lat dał swój pierwszy publiczny koncert w San Francisco, gdzie zagrał utworzy Henryka Wieniawskiego i Henriego Vieuxtemps. W wieku 11 lat dał swój pierwszy występ z orkiestrą symfoniczną w Carnegie Hall w Nowym Jorku. Rok później Ricci rozpoczął studia u Georga Kulenkampffa w Berlinie. Tam również dawał kolejne koncerty.

Na zdjęciu Ruggiero Ricci podczas przerwy w koncercie w Filharmonii Berlińskiej przyjmuje gratulacje od Kanclerza Rzeszy Franza von Papena i noblisty Gerharta Hauptmanna.

źródło: Bundesarchiv, Bild 102-13876 / CC-BY-SA

Po tym samym koncercie we wrześniu 1932 roku Ruggiero Ricci rozmawia z Gerhartem Hauptmannem i jego drugą żoną, skrzypaczką Margarete Marschalk.

źródło: Bundesarchiv, Bild 102-13877 / CC-BY-SA

Gerhart Hauptmann odbiera z okazji swoich 80. urodzin w dniu 15 listopada 1942 roku podczas imprezy w Oberpräsidium Breslau (Pałacu Hatzfeldów we Wrocławiu) Ehrenring der Stadt Wien (dosł. "Sygnet Miasta Wiednia", był przyznawany wybitnym artystom lub naukowcom od 1925 roku). Sygnet wręcza gauleiter Wiednia Baldur Benedikt von Schirach.

źródło: www.willisch.eu

Wielka impreza urodzinowa siedemdziesięcioletniego Gerharta Hauptmanna w Sali Widowiskowej na Kaiserdamm w Berlinie 15 listopada 1932 roku. Noblista dziękuje wszystkim za otrzymane życzenia.

źródło: Bundesarchiv, Bild 102-14025 / CC-BY-SA

MUZEU
SPORTU I TU

Artyści w Karpaczu

Magdalena Drewnicka

W XIX wieku - epoce romantyzmu - źródłem artystycznych inspiracji stała się natura. W pierwotnie dzikich, nieprzystępnych i niebezpiecznych Karkonoszach, artyści dostrzegli nagle piękno, nastrój i tajemniczą atmosferę... Stały się one natchnieniem dla poetów, malarzy, rzeźbiarzy i kompozytorów. Dość powiedzieć, że sama postać Ducha Gór doczekała się 15 utworów muzycznych, w tym 5 oper (m.in. Carla Webera).

Najbardziej znanym poetą, który inspirację znajdował właśnie w Karkonoszach, był Tadeusz Różewicz. Poeta raz pierwszy trafił do Karpacza w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Spotykał się wtedy ze swoim przyjacielem Henrykiem Tomaszewskim - twórcą Pantomimy Wrocławskiej, który mieszkał w Karpaczu na stałe. Z czasem Ta-

Fot. Zbigniew Kulik
Tadeusz Różewicz

deusz Różewicz pojawiał się tu coraz częściej, a kolejne wizyty owocowały nowymi utworami. Jednym z nich jest „Gawęda o spóźnionej miłości", miłości do...

liczę sobie
75 lat
i wypisz wymaluj
zakochałem się w Karkonoszach
które mają
około 450 milionów lat
zakochałem się w Górach
Olbrzymich
(...)

Ten poświęcony Karkonoszom wiersz zainspirowany był wpisem do pamiątkowej księgi honorowej wybitnej polskiej himalaistki – Wandy Rutkiewicz. Natchniony pisał później:

(...)
na uliczce prowadzącej do

Muzeum Sportu i Turystyki
w Karpaczu
trafiłem na ślad Wandy
ślad jej stopy
ślad jej ręki
ślad uśmiechu
(...)

Tadeusz Różewicz umiłował Karkonosze całym sercem i duszą. Kilka razy rozważał możliwość przeniesienia się na stałe do Karpacza jednak ostatecznie do tego nie doszło. Jak powiedział: *Chęci były. Ale sobie pomyślałem, że dni i noce w narzeczeństwie są bardziej obiecujące i słodkie, niż w małżeństwie. Przenosiny z miejsca na miejsce na stare lata nie są łatwe. Jak to się mówi „starych drzew nie należy przesadzać".*

Myślę, że gość jest zawsze milszy, witany bardziej serdecznie niż ten, który na stałe zjedzie i sprawia gospodarzowi potem kłopoty. A to, że ma dziurę w dachu, a to że trzeba rynnę naprawić itd. Więc myślę sobie, że nasza sympatia będzie milsza i bardziej gorąca, jeśli tego bardzo formalnego ślubu nie weźmiemy. Będziemy tylko żyli, co ma czasem swoje wielkie uroki, na „kocią łapę" (archiwum Muzeum Sportu i Turystyki).

Jest jednak w Karpaczu miejsce, które poeta upodobał sobie szczególnie, wspominane w wierszu Muzeum Sportu i Turystyki, w którym często gościł podczas swoich wizyt. Tutaj też, z okazji jubileuszu 80 urodzin artysty zorganizowano wystawę pt. „Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg w Karkonoszach". Po jej zakończeniu najcenniejsze eksponaty umieszczono na ekspozycji stałej w witrynie poświęconej poecie, a stanowiącej część ekspozycji „Polacy w Karkonoszach".

O przyjaźni z Henrykiem Tomaszewskim poeta mówił: Znamy się mało, ale dobrze. Od wielu lat myśleliśmy o współpracy. Ale nie mogliśmy się spotkać, zbyt zajęci własnymi warsztatami.

Wojciech Piotrowski - Samotnia
Malarstwo traktuje jako hobby i relaks. Na co dzień jest doktorem farmacji i prowadzi w Karpaczu zabytkową aptekę. Maluje głównie w technice olejnej, a większość jego prac znajduje się w posiadaniu rodziny i przyjaciół.

Wieloletni mieszkaniec Karpacza Henryk Tomaszewski był wybitnym tancerzem, mimem, choreografem, reżyserem, pedagogiem oraz założycielem i dyrektorem Wrocławskiego Teatru Pantomimy. Pracował w nim nad unikalną na skalę światową formą zespołowego teatru pantomimy, a swoje programy budował w oparciu o literaturę, mitologię i kulturę, w których ruch był środkiem wyrazu dopełnionym oprawą plastyczną i muzyką.

Dopełnieniem jego teatralnych pasji było kolekcjonerstwo. Od 1967 roku zbierał lalki, których pokaźną kolekcję przekazał następnie miastu. W 1995 roku na bazie tych właśnie zbiorów powstało Miejskie Muzeum Zabawek prezentujące przekrój zabawkarstwa począwszy od XVII aż do XX wieku.

„W gościnie u Henryka Tomaszewskiego w Muzeum Zabawek”
(...)
Starych artystów dwóch
– aktor i poeta –
spotkali się pod koniec wieku
i mówią o zabawkach
milczą o człowieku
(...)

Po śmierci dwaj wielcy twórcy spoczęli w sąsiednich mogiłach na zabytkowym cmentarzu obok Kościółka Wang w Karpaczu Górnym.

Tak dawniej, jak i dziś Karkonosze niezmiennie inspirują, a piękno krajobrazu, tradycja i atmosfera miasta dają natchnienie utalentowanym mieszkańcom Karpacza.[•]

fotografie nieoznaczone - archiwum Urzędu Miejskiego w Karpaczu

Ewa Vogt - Windmills
W swoim malarstwie artystka łączy realizm z bajką, a niewielka doza mistycyzmu pomaga jej wyrazić swoje emocje, które przedstawia w ciepłych, żywych i wyrazistych kolorach. Praktyka w dziedzinie scenografii, jaką odbyła u Henryka Tomaszewskiego we Wrocławskiej Pantominie pozostawiła ślad w jej malarstwie, w którym kolor i ruch mają decydujące znaczenie.

FOTOGRAFICY

Zbigniew Kulik
Znawca Karkonoszy – fotografuje głównie Karkonosze, region jeleniogórski i Dolny Śląsk: krajobraz, obiekty turystyczne i zabytki oraz ludzi. Większość jego prac nie powstała z przypadku. Uważnie obserwuje krajobraz i przyrodę. Jak sam mówi: *Wielokrotnie chodziłem w te same miejsca, by potem wykonać to jedno jedyne zdjęcie, które wydaje się być tym niepowtarzalnym, które dla oglądającego pozostaje w pamięci jako jedyne w swoim rodzaju*.

Grzegorz Truchanowicz
Pasjonat fotografii od ponad 10 lat, Przewodnik Sudecki i Praski, zakochany w Karkonoszach. Jego hasło na życie to: *bądź optymistą, uśmiechaj się często, kochaj świat jaki jest, a osiągniesz sukces*. Zgodnie z ulubionym powiedzeniem fotografując stara się pokazać to, czego nikt inny by nie uchwycił.

Karol Nienartowicz
Pasję fotografowania łączy z pasją podróży trekkingowych po górach całej Europy. Największym sentymentem darzy jednak Karkonosze w których się wychował i mieszkał przez 28 lat. Podczas wypraw nocuje w namiocie, najczęściej w miejscach odludnych lub trudno dostępnych, by z dala od ludzi łapać wieczorne i poranne światło. Unika schronisk i cywilizacji w górach, lubi się zmęczyć i wstawać wcześnie rano, by oglądać widoki, które inni przesypiają.

Teresa Kępowicz - Zagubiony

Jedna z najbardziej rozpoznawalnych artystek mieszkających w Karpaczu. Z miejsca, w którym mieszka, czerpie energię do życia i pracy twórczej. Jak mawia: *Obraz to nie tylko farba na płótnie czy pociągnięcia pędzlem. To alchemia. To byt, z którym chcemy przebywać.* Inspiracją dla artystki jest często poezja. Owocem tego jest m.in. cykl obrazów poświęconych twórczości Tadeusza Różewicza. Na jej płótnach pojawiają się także niezwykłe karkonoskie pejzaże.

Janusz Motylski - Dzikie wino
Jeden z najbardziej wszechstronnych artystów, uprawia m.in. malarstwo, grafikę, witraże, tkaninę czy realizacje przestrzenne. Jego inspiracją jest natura i człowiek, a swoją twórczość traktuje jako formę rozmowy z otoczeniem, rzeczywistością i kulturą. Fascynacje artysty światem i odkrywaniem piękna widać w doborze tematów i wykorzystywanej kolorystyce. Prace Janusza Motylskiego znajdują się w licznych muzeach oraz zbiorach prywatnych w Polsce i na świecie.

Beata Makutynowicz - Anioły staroskrzydłe
W dziedzinie malarstwa artystka tworzy przede wszystkim martwe natury, zwłaszcza układy z udziałem kwiatów i elementów roślinnych. Jako podkład do pejzaży często wykorzystuje kamienne łupki i stare deski. Jej znakiem rozpoznawczym stały się jednak Anioły Staroskrzydłe - niezwykłe, niepowtarzalne i z duszą - powstające z odzyskanych desek z karkonoskich domostw, w których tkwi historia całych pokoleń.

Renata Grochowska-Jaryczewska - Śnieżka
Od lat z zamiłowaniem uwiecznia piękno otaczających ją Karkonoszy.Tworzy w technikach malarstwa sztalugowego, korzystając zarówno z doświadczeń warsztatu artystycznego jak i pogłębionej wiedzy przyrodniczej. W kręgu zainteresowań artystki znajduje się wszystko to, co wiąże się z szeroko rozumianym pojęciem krajobrazu przyrodniczego.

Leszek Legut - Pielgrzymy
Twórczość artysty trafnie określają słowa Leonarda da Vinci: „Malarstwo zatem nie potrzebuje przekładu na różne języki, jak tego wymaga literatura, i daje od razu zadowolenie rodzajowi ludzkiemu, podobnie jak dzieła natury". Jego zdaniem: *Dobry obraz nie potrzebuje słów. Powinno się przy nim stać i milczeć*. Mimo iż jest wszechstronnym artystą, najbardziej upodobał sobie akwarele, którymi z upodobaniem uwiecznia karkonoskie krajobrazy.

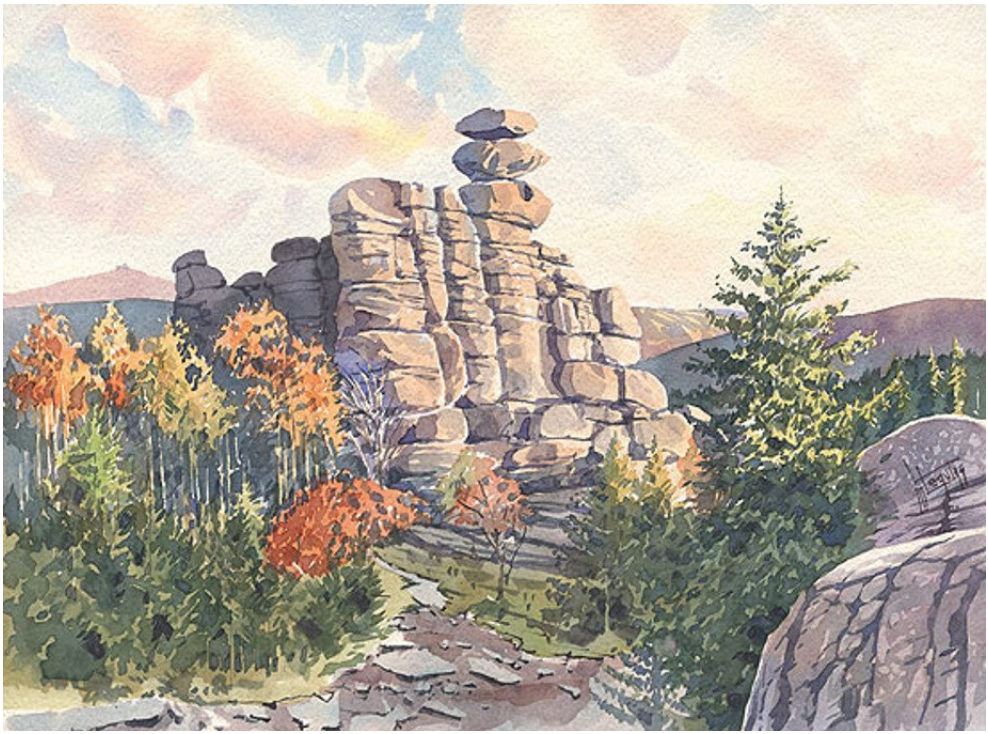

Agata Makutynowicz - Cisza
Karkonosze uważa za miejsce wybrane jej przez los. Wrażliwość na piękno świata daje jej zarówno inspiracje, jak i siłę do twórczych uniesień. W swoich pracach podejmuje tematykę związaną z regionem, ukazując fragmenty karkonoskiego krajobrazu jak też układy roślinne i dekoracyjne inspirowane tylko miejscem, z którym jest tak mocno związana.

Jan Dziewięcki - Biały Jar
Artysta, który malując spełnia marzenia z lat młodości. Jak mówi jest samoukiem, którego uszczęśliwia płótno i farby olejne, a w jego pracach dominuje motyw drzewa, który towarzyszy mu od czasów studiów. Wolny czas dzieli na dwie pasje ponieważ drugą najważniejszą są podróże, na które wybiera miejsca nietypowe – rzadko odwiedzane przez turystów.

"Dom Hauptmannów" zakupiony przez braci w 1890 roku. Aktualnie w domu Carla i Gerharta znajdują się stałe wystawy: "W królestwie Ducha Gór", "Wyroby huty szkła Józefina w Szklarskiej Porębie", "Gerhart Hauptmann i jego krąg towarzyski", "Łukaszowcy", "Carl Hauptmann i jego przyjaciele", "Wlastimil Hofmann i wczesne lata powojennej kolonii", "Artyści szkła i fotografii" oraz "Najmłodsze pokolenie artystów Szklarskiej Poręby". Muzeum otwarte jest od wtorku do niedzieli od 9 do 15:30 w sezonie zimowym (do 16:30 w sezonie letnim) / fot. Wojciech Głodek, 30 sierpnia 2015 roku

Hauptmannowie

(fragment książki "Pod Wędrownym Aniołem")

Joanna M. Chmielewska

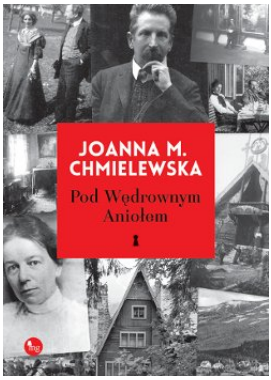

W Domu Carla i Gerharta Hauptmannów bywam na wernisażach i spotkaniach. Ale dzisiaj przyprowadziły mnie tu wspomnienia Marthy Hauptmann. Pomyślałam, że w środku tygodnia poza sezonem nie będzie wielu zwiedzających i nie pomyliłam się. Jestem sama. Chcę poczuć ten dom. Usłyszeć. Zobaczyć. Dotknąć. Zrozumieć.

Dom wybrany, ukochany, otwarty dla gości, zalążek i serce kolonii artystów. Dom pełen twórczego fermentu. Dom miłości i zdrady.

Skrzypiące schody prowadzą mnie na pierwsze piętro. Na korytarzu stół, ława i fotele z naturalnie wygiętego drewna. Meble ogrodowe Hauptmannów. Jedyne, jakie ocalały z tego domu.

Korytarzem przechodzi się do dwóch połączonych pokoi, gdzie znajdują się pamiątki po Carlu i Gerharcie. Podłoga głośnym trzeszczeniem odmierza moje kroki. Byłam w tych pomieszczeniach niejeden raz, ale dopiero teraz poszczególne elementy i ich wzajemne ułożenie nabierają dla mnie znaczenia. Nie wiem, czy odkrywam świadomy zamysł twórcy ekspozycji, czy też dom zaczyna prowadzić mnie swoimi ścieżkami.

Mój wzrok przykuwa dębowy bogato rzeźbiony kredens. A właściwie detal. Otaczające dziurkę od klucza fantazyjne okucia ozdobione esami-floresami. Oprócz kompletu ogrodowego to jedyny mebel, który pamięta Gerharta Hauptmanna. Stał kiedyś w jego willi w Jagniątkowie.

Robię zdjęcie komórką, sprawdzam, jak wyszło, bawię się, zmieniając jego wielkość. Dziurka od klucza staje się raz mniejsza, raz większa. Powiększam ją maksymalnie. Wnętrze kredensu jest ciemne.

Chciałabym zajrzeć do środka, lecz nie mam klucza.

Trzech braci poślubiło trzy siostry. Brzmi jak baśń? Ale w baśni żyliby długo i szczęśliwie. A ta historia wydarzyła się naprawdę i szczęśliwego zakończenia nie miała.

Lecz na razie jesteśmy przecież dopiero na początku historii, kiedy to dwaj z braci wraz z żonami pewnego letniego dnia 1890 roku wybrali się na wycieczkę ze Świeradowa do Szklarskiej Poręby. Młodszy – Gerhart Hauptmann – miał już za sobą debiut literacki i skandal, jaki wywołało w Berlinie wystawienie jego naturalistycznego dramatu *Przed wschodem słońca*. Starszy – Carl Hauptmann, doktor filozofii – był dopiero na początku literackiej drogi.

Bracia poszukiwali źródeł inspiracji w życiu zgodnym z naturą, z dala od zgiełku miasta, i już od jakiegoś czasu myśleli o tym, żeby osiedlić się w jakimś spokojnym, pięknym miejscu. A Szklarska Poręba roztoczyła przed nimi swoje uroki; górskie krajobrazy zmieniające się nieraz wielokrotnie w ciągu dnia, tajemnice ukrytych w ziemi minerałów i kamieni szlachetnych oraz ich walońskich poszukiwaczy, legendy o Duchu Gór...

Czyż mogli oprzeć się tej magii?

Pod wpływem impulsu zaczęli szukać domu, w którym mogliby razem zamieszkać i tworzyć. I właśnie wtedy zobaczyli ten dom.

Szukam tych początków we wspomnieniach Marthy: „Podjechaliśmy krótki kawałek bardziej stromej drogi w dół po stoku, powóz przyhamował i w ten sposób potoczyliśmy się powoli pod pewien stary i duży dom położony tuż przy drodze. (...) My patrzyliśmy i podziwialiśmy, i spoglądaliśmy na siebie nawzajem. To wszystko było przecież takie, jak sobie to wymarzyliśmy. Odległe – najgłębsze wiejskie odosobnienie, błękitne góry w pięknym faliście zarysowanym okręgu, słoneczne stoki. (...) Po dwóch godzinach byliśmy właścicielami gruntu w Szklarskiej Porębie”[1].

Hauptmannowie rozbudowali dom i nadali mu nazwę *Schreiberhäusel* – Domek Pisarza.

Znajomi i przyjaciele, wśród których było wielu wybitnych przedstawicieli niemieckiej nauki, kultury i sztuki, chętnie ich odwie-

dzali. Niektórzy przyjeżdżali od czasu do czasu, inni osiedlili się w Szklarskiej Porębie na stałe. Wilhelm Bölsche (przyrodnik, publicysta), Bruno Wille (literat, publicysta), John Henry Mackay (poeta) i Anna Teichmüller (kompozytorka) zamieszkali w Dolinie Siedmiu Domów dzięki Hauptmannom. Takie były początki kolonii artystów w Szklarskiej Porębie.

Patrząc przez okno na posadzony rękami dawnych mieszkańców tego domu i niedawno odrestaurowany Park Ducha Gór, wyobrażam sobie Gerharta Hauptmanna spacerującego po parkowych ścieżkach w poszukiwaniu natchnienia. Podobno pisarz nie rozstawał się z ołówkiem i notesem i miał zwyczaj obmyślać swoje utwory podczas twórczych spacerów, a ten park i altana, która, niestety, nie dotrwała do dzisiejszych czasów, były jego ulubionymi miejscami. To tutaj późniejszy zdobywca literackiej Nagrody Nobla stworzył swoje największe dramaty: *Tkacze*, *Futro bobrowe*, *Woźnica Henschel* i *Wniebowzięcie Hanusi*.

Na kredensie wspólne zdjęcie Marii i Gerharta. On trzyma ją za rękę. Są jeszcze tacy młodzi! I spodziewają się pewnie, że będą żyli razem długo i szczęśliwie. Gerhart nie poznał jeszcze Margarete Marschalk, młodej skrzypaczki, dla której, po długoletnim romansie, rozszedł się Marią. Dla nowej żony i syna wybudował potem Łąkowy Kamień – przepiękną willę w Jagniątkowie i zamieszkał tam, prawo własności Domku Pisarza odstępując Carlowi.

Niedoceniony, ukryty w cieniu sławnego i bogatego brata – noblisty, Carl Hauptmann pozostał wierny *Domkowi Pisarza* do końca życia. Tutaj powstały wszystkie jego utwory, a wśród nich najbardziej znany cykl legend *Księga Ducha Gór*.

„Tajemnica Karkonoskiego władcy jest tak stara, jak omszałe, zielonolśniące skały, które zawisły na wilgotnych ścianach górskich wąwozów.

Albo równie stara, jak biel spienionej wody, która każdego dnia na nowo skacze po kamiennych progach w głąb wąwozu Kamieńczyka. (...)

Duch Gór z dawien dawna pojawia się w tysiącach żywych i martwych kształtów.

Mknie w przestworza niczym rycerz burzy, choć zaledwie przed momentem leżał na drodze w postaci nieruchomego głazu. Albo pod postacią burej myszy znika w szparze podłogi, by po chwili w jakiejś samotnej, górskiej chacie wywijać w tańcu z córką pasterza, ochryple przy tym pokrzykując i jodłując na całe gardło. (...)

Sekret polega na tym, że żaden człowiek nie jest w stanie powiedzieć, kim właściwie jest ów Duch Gór..."[2].

Przemierzając górskie ścieżki, odwiedzając tutejsze gospody, nawiązując znajomości, poznając mentalność i język, Carl Hauptmann próbował dotknąć tajemnicy Władcy Karkonoszy i ludzi zamieszkujących te ziemie. W swoich utworach chętnie posługiwał się ludowym dialektem, a na bohaterów opowiadań wielokrotnie wybierał prostych ludzi walczących z trudami życia.

Carl *Rübezahl* (Duch Gór) mówili przyjaciele, (Pan Doktór) nazy-

Pewnego dnia podczas górskiej wędrówki dostrzegłem z wysoka ową dolinę i pomyślałem sobie, że dobrze byłoby wybudować tutaj dom. Zachwycony i olśniony tym pomysłem zszedłem w dół przez lasy, zbiegłem ścieżką wśród łąk i w ciągu kilku godzin załatwiłem kupno wiejskiego domu z przynależnym gruntem, łąką, z bukowym gajem i źródełkami.
Gerhart Hauptmann

wali go miejscowi. Figurka Ducha Gór stoi z boku na biurku, którego centralną część zajmuje przedwojenna maszyna do pisania. Niedawno dowiedziałam się, że tym mężczyzną, który znalazł ją na swoim strychu i podarował do muzeum, jest nasz sąsiad Czesiek.

Martha Hauptmann ze zdjęcia wpatruje się w tę maszynę z nabożeństwem. Nad biurkiem wielki portret Carla Hauptmanna, przy biurku jego popiersie. Moje pierwsze skojarzenie – ołtarzyk. Nie wiem, czy to efekt zamierzony, czy tylko przypadkowy.

„Miałam słońce, które zaszło, a resztki jego promieni muszą mi do końca życia wystarczyć”[3] – powiedziała Martha po śmierci Carla.

Kim byłby Carl bez Marthy, oddanej mu do końca, wiernej mimo jego niewierności? Czy ją doceniał? Czy dostrzegał to, co widzieli inni? Na przykład dziennikarz, który po odwiedzinach w Domku Pisarza napisał artykuł o twórczości Carla i wspomniał w nim Marthę.

fot. Wojciech Głodek

„Kiedy się go odwiedza, to oczywiście przychodzi się z głębokim uczuciem podziwu. Ale jest się poruszonym dopiero wtedy, gdy się widzi z jaką nieskończoną wiarą jego żona podnosi ku niemu wzrok, jakim blaskiem rozbłyskują jej oczy, gdy on w kręgu światła małej lampy, w przytulnym pokoju, skrywającym na pobielonych ścianach tak bogate skarby sztuki, czyta swoje utwory”[4].

Martha schowała ten wycinek z gazety do koperty, do tej, gdzie trzymała oświadczynowy liścik od Carla. Liścik kiedyś pod wpływem emocji zniszczyła, wycinek z gazety przetrwał.

Martha… wierna towarzyszka życia Carla, akuszerka jego twórczości. Stworzyła mu przytulny dom i wymarzone warunki do pracy. Przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa przepisywała jego teksty, robiła korektę, pomagała w prowadzeniu korespondencji. Carl konsultował z nią swoje utwory i liczył się z jej uwagami. Nie mogli mieć dzieci. „Moje utwory, Myszko, są naszymi dziećmi” – pocieszał żonę Carl. Nie umiał bez niej żyć, nie umiał bez niej tworzyć, lecz nie był obojętny na kobiece wdzięki. Młoda malarka Maria Rohne, dla której rozwiódł się z Marthą, nie była jego pierwszą fascynacją.

Kiedy Maria została nową gospodynią *Domku Pisarza*, Martha nigdy więcej nie przekroczyła jego progu. Chciała wyjechać, ale na prośbę Carla została w Szklarskiej Porębie. Wybudował jej willę w pobliżu. Z Domku Pisarza do Polnego Krzewu idzie się jakieś piętnaście minut. Carl odwiedzał byłą żonę niemal codziennie, pisał listy, a gdy zmarł i kondukt pogrzebowy przechodził obok jej domu, znów włożyła na palec złotą ślubną obrączkę, którą zdjęła w dniu rozwodu…

Martha po śmierci męża żyła jeszcze osiemnaście lat, a wokół niej nadal zbierali się ludzie, żeby posłuchać muzyki, porozmawiać o literaturze, filozofii, sztuce i życiu.

Zdjęcie Marii Rohne, drugiej żony Carla, stoi na przykrytym szydełkową serwetą stole. Została jego żoną, urodziła mu córkę, ale… Co czuła, kiedy on codziennie odwiedzał Marthę? Kiedy widziała krążące między nimi listy? W przeciwieństwie do Marthy nigdy nie była dla Carla tą jedyną.

Maria i Marta... Jak w Biblii. Która z nich dostała lepszą cząstkę?

Jest w tym pokoju na komodzie zdjęcie jeszcze jednej kobiety – Anny Teichmüller, kompozytorki i pianistki, która na prośbę Carla zamieszkała w Szklarskiej Porębie. Przychodził do niej rano, czytał swoje utwory i słuchał jej oceny. Pisał, podczas gdy Anna grała na fortepianie. Wiele wątków w jego dziełach powstawało pod wpływem jej muzyki. Inspirowali się nawzajem. Ale Annie to nie wystarczało. Chciała wciąż więcej i więcej. Przychodziła do Hauptmannów na niedzielnie obiady, wyjeżdżała z nimi na wakacje, wciąż szukała pretekstu do spotkań z Carlem. Kiedy Martha zbuntowała się przeciw jej ciągłej obecności w ich domu, Carl zarzucił jej filisterstwo, nawymyślał od „zazdrosnej żony listonosza", nazwał jej zachowanie małostkowym zachowaniem niskich dusz.

Brakuje jeszcze fotografii dwóch kobiet, których drogi splątały się z drogami Carla i Marthy: Józefy Kodis-Krzyżanowskiej i Pauli Cohn.

Trzech braci poślubiło trzy siostry. Pierwszy z nich – Georg zmarł, zostawiając Adelę z sześciorgiem małych dzieci i z długami, dwaj pozostali opuścili swoje żony dla innych kobiet...

Bohaterowie tej historii dawno już nie żyją. Namiętności i żale umarły razem z nimi.

A w Ogrodzie Ducha Gór zasadzone rękami Hauptmannów drzewa dają cień i wypoczynek wędrowcom, zaś tym, którzy umieją słuchać, opowiadają historie o dawnych mieszkańcach i gościach Domku Pisarza. [•]

1. Martha Hauptmann, *Drogi mojego życia. Wspomnienia*, Jelenia Góra 2014, s. 64.
2. Carl Hauptmann, *Księga Ducha Gór*, Jelenia Góra 2015, s. 12, 14.
3. Ivo Łaborewicz, Przemysław Wiater, *Szklarska Poręba. Monografia historyczna*, Jelenia Góra 2011, s. 481.
4. Martha Hauptmann, *Drogi mojego życia. Wspomnienia*, Jelenia Góra 2014, s. 64.

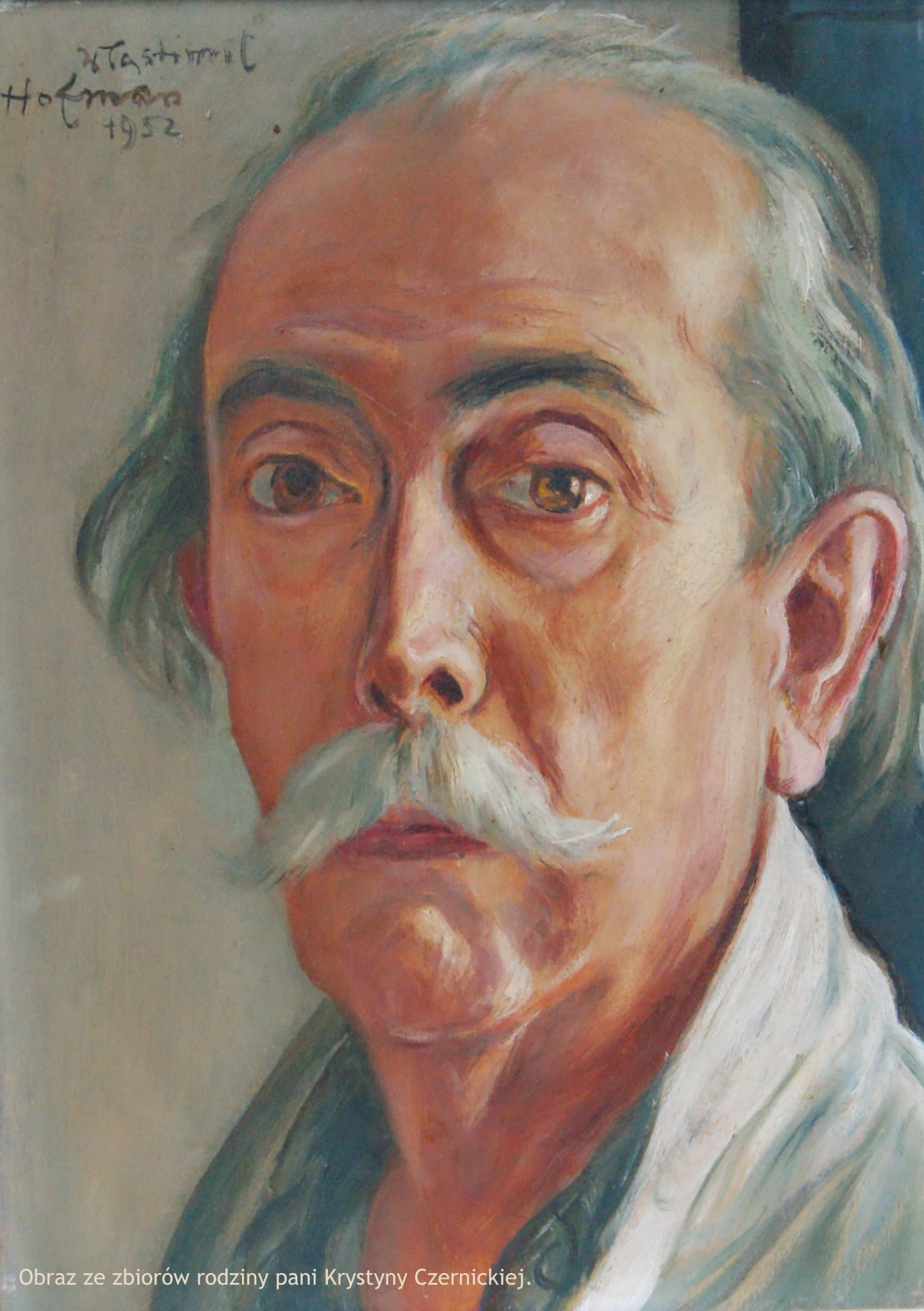

Obraz ze zbiorów rodziny pani Krystyny Czernickiej.

Rok 2017 w Szklarskiej Porębie

Rokiem Wlastimila Hofmana

Feliks Rosik

Rada Miejska w Szklarskiej Porębie ustanowiła Rok 2017 Rokiem Wlastimila Hofmana.

Uchwała została podjęta dla upamiętnienia przypadających w 2017 roku ważnych rocznic związanych z życiem i twórczością wielkiego malarza i poety Wlastimila Hofmana:

- 110 rocznicą nominacji na członka Wiedeńskiej Galerii Secesji (Wiener Secession Galerie),
- 75 rocznicą wydania tomiku wierszy *Przez cierpienie do wolności*,
- 70 rocznicą zamieszkania artysty w Szklarskiej Porębie,
- 25 rocznicą nadania jego imienia Szkole Podstawowej Nr 5 w Szklarskiej Porębie,
- 10 rocznicą inauguracji wycieczek szlakiem Wlastimila Hofmana.

Wlastimil Hofman był polskim malarzem, przedstawicielem symbolizmu. Urodził się 27 kwietnia 1881 roku w Karlinie (dziś dzielnica Pragi), zmarł 6 marca 1970 roku w Szklarskiej Porębie.

Był najmłodszym z szóstki dzieci Czecha Ferdynanda Hofmana i Polki o nazwisku rodowym Muzyka. W 1889 roku rodzina przeniosła się do Krakowa, gdzie Wlastimil uczęszczał do szkoły św. Barbary i gimnazjum im. Jana III Sobieskiego. Studia malarskie odbył w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem Jacka Malczewskiego, Leona Wyczółkowskiego i Jana Stanisławskiego, a następnie doskonalił umiejętności w École Beaux-Arts w Paryżu pod kierunkiem Jean-Leona Gerome'a.

Od 1902 roku zaczął wystawiać swoje prace. Należał do Towarzystwa Artystów Czeskich „Mánes" i Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka".

Sławę młodemu Hofmanowi przyniósł obraz „Spowiedź" wystawiony w 1906 roku w warszawskiej Zachęcie.

W 1907 roku Wlastimil Hofman, jako pierwszy Polak, otrzymał nominację na członka Wiedeńskiej Secesji. Po sześcioletnim okresie pracy twórczej w Pradze i Paryżu powrócił do Krakowa, gdzie zbudował dom i pracownię, kierując swą twórczość na „sztukę rodzimą". W 1942 roku wydał tomik wierszy „Przez ciernie do wolności". Po wojennej tułaczce w roku 1947 zamieszkał w Szklarskiej Porębie w domu do dziś noszącym nazwę „Wlastimilówka".

Był kontynuatorem bogatej tradycji kolonii artystycznej wywierając przez lata znaczący wpływ na kształt życia kulturalnego w Szklarskiej Porębie. Nawiązał serdeczne więzi z mieszkańcami i turystami, którzy pozowali mu do obrazów, dla których malował, z którymi zżył się i przyjaźnił.

Oprócz portretów namalował wiele obrazów o tematyce antycznej, baśniowej i religijnej, w tym: cykl 30 obrazów „Ojcze nasz", Czterej Ewangeliści, cykl „Tajemnice Różańca", Adoracja Dzieciątka (tryptyk), Chrystus Eucharystyczny, św. Jadwiga, św. Maria Magdalena, Madonna z Dzieciątkiem, obrazy w ołtarzach kościołów p.w. Bożego Ciała i p.w. Niepokalanego Poczęcia NMP w Szklarskiej Porębie oraz p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Jeleniej Górze-Sobieszowie. Przyjaciel artysty Jan Izydor Sztaudynger określił Hofmana mianem „malarza wewnętrznego blasku".

Szczególne więzi łączyły malarza z zakonnikami Klasztoru Franciszkańskiego kierującymi parafią pw. Bożego Ciała w Szklarskiej Porębie: o. Innocentym Majem i o. Maksymilianem Januszkiewiczem. Dla obu tych świątyń malarz namalował najwięcej obrazów o tematyce sakralnej.

W 1992 roku Szkole Podstawowej w Szklarskiej Porębie nadane zostało imię Wlastimila Hofmana. Dom malarza, dziś własność prywatna, funkcjonuje jako muzeum w praktycznie nienaruszonym stanie, które przepełnione duchem artysty tworzy klimat miejsca i czasu. Wnętrze kryje m.in. pracownię mistrza, gdzie nadal stoją sztalugi, a na stoliku leżą pędzle i paleta z farbami.

Na poczesnym miejscu znajduje się portret mistrza artysty - Jacka Malczewskiego, który zapoczątko-

wał linię symboliczno-alegoryczną w malarstwie, kontynuowaną przez Hofmana. Od lat pracownia i pokoik gościnny udostępniane są zwiedzającym. Niestety, obiekt poddaje się „zębowi czasu", pilnie wymagając rewitalizacji.

Wlastimilowi Hofmanowi nadany został tytuł Honorowego Obywatela Szklarskiej Poręby, a jedna z ulic miasta nosi jego imię.

W uznaniu dla bogatej twórczości artysta był wielokrotnie odznaczany, m.in. Złotym Medalem na Polu Sztuki (1929), Złotym Krzyżem Zasługi (1933), Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski (1937), Orderem Białego Lwa (Czechosłowacja, 1948), Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1961).

Wlastimil Hofman spoczywa na cmentarzu komunalnym w Szklarskiej Porębie wraz z żoną Adą.

Inicjatywa uczczenia największej w powojennej historii Szklarskiej Poręby osobowości spotkała się z wielkim uznaniem i poparciem wielu osób i środowisk. Wszak wiele dzieci, które pozowały do obrazów, żyje i mieszka w grodzie pod Szrenicą. Część obrazów malarza, szczególnie portretów, znajduje się w prywatnych zbiorach mieszkańców. Program obchodów jest bardzo bogaty, a w jego realizację włączyły się instytucje miejskie, szkoły i osoby prywatne. [•]

Wlastimilówka - dom w Szklarskiej Porębie w którym malarz mieszkał i tworzył
fot. Wojciech Głodek, 5 lipca 2014 roku

Wlastimil Hofman

(fragment książki "Pod Wędrownym Aniołem")

Joanna M. Chmielewska

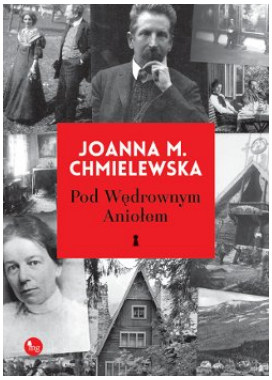

Pasja jest jak narkotyk. Jak zaborcza kochanka. Uzależnia. Żąda wyłączności. Nie daje wytchnienia. Nie uznaje kompromisów. Nie przyjmuje usprawiedliwień.

Zastanawiam się, w którym momencie wybrała Wlastimila Hofmana? Czy wśród wielu noworodków odnalazła tego jedynego chłopca wpatrującego się sufit ozdobiony kwiatami? Czy też może posłyszała słowa ojca, który zadziwiony zachowaniem dziecka zawołał:

– Ten chłopak chyba będzie malarzem!

A może, kierując się sobie tylko znanymi kryteriami, wybrała Wlastimila już wcześniej i to ona otworzyła mu oczy na piękno?

Poczekała, aż nauczy się chodzić i mówić, a gdy miał cztery lata, wcisnęła mu w rękę węgiel, każąc rysować po świeżo pobielonym murze. Posłuszeństwo nagrodziła batami. Dzieciak przyjął cięgi od dozorcy, zacisnął zęby i rysował dalej. W domu, na podwórku, w szkole, na lekcjach i na przerwach. Kredą, ołówkiem, kredką, węglem. Na chodniku, kartce, piórniku, zeszycie, ścianie, ławce. Wszystko jedno czym i wszystko jedno na czym. Rysował bez opamiętania; ptaki, kwiaty, stoły, krzesła, łóżka, psy, a najchętniej twarze ludzkie. Nic go nie mogło powstrzymać. Ani skargi nauczycieli, ani uwagi rodziców, ani zakazy.

Liczyła się tylko Pasja. Zakochany w niej czternastolatek pracował ponad siły – rano nauka w gimnazjum, potem obiad, odrabianie lekcji i wreszcie najważniej-

szy punkt dnia: wieczorowy kurs rysunku w Szkole Sztuk Pięknych, do której został przyjęty jako wolny słuchacz. Próbował pogodzić wszystko, lecz to było niemożliwe. Rysunek gotów był ćwiczyć dniami i nocami, pracował nad siły, ale w szkole miał zaległości. Rozchorował się z przemęczenia, kilka dni przeleżał w łóżku i znów wrócił do dawnego trybu życia. Braki szkolne rosły, dyrektor gimnazjum wezwał ojca na rozmowę, rodzice oczekiwali rezygnacji z kursu. Wlastimil nadrabiał zaległości i w tajemnicy przed rodzicami dalej chodził na zajęcia z rysunku. Niewiele jadł, niewiele spał. W nocy leżał w łóżku, wyczerpany do granic możliwości, nie umiejąc przestać myśleć o malowaniu. Nadzieje walczyły z obawami, a sen nie przychodził. Rano budził się nieprzytomny i dopiero po południu zaczynał normalnie myśleć.

Zaliczył trzecią klasę gimnazjum, ale zamiast pojechać na wakacje przez całe lato przygotowywał się do egzaminu do Szkoły Sztuk Pięknych. Dostać się do przybytku sztuki – to było jego jedyne marzenie. We wrześniu nie wrócił do gimnazjum. Przygotowania do egzaminu pochłaniały go całkowicie. Tymczasem kilkanaście dni przed egzaminami dyrektor gimnazjum zagroził Wlastimilowi skreśleniem z listy uczniów, a ojciec kategorycznie nakazał powrót do szkoły. Wydawało się, że nic nie zmieni jego decyzji.

W nocy chłopak dostał gorączkę powyżej czterdziestu stopni, a lekarz stwierdził zapalenie opon mózgowych i ogólne wyczerpanie. Rodzice poddali się. Po chorobie Wlastimil nie wrócił już do gimnazjum. Zdał egzamin, a ponieważ nie miał matury, do Szkoły Sztuk Pięknych został przyjęty warunkowo. Marzenie się spełniło.

Wlastimil skończył studia ze srebrnym medalem. Ale jej to nie wystarczyło. Pasja wciąż żądała więcej i więcej. Skusiła go wizją nauki w Paryżu i tam poddała kolejnej próbie. Żeby dostać się do École des Beaux-Arts, trzeba było uzyskać zgodę na przyjęcie do pracowni wybranego profesora. Przez ponad dwa miesiące – od połowy października do połowy grudnia – Hofman w nieogrzewanym magazynie dzień w dzień w rysował to

samo: dyskobola, którego sobie wybrał spośród innych posągów. Co kilka dni pokazywał swoje prace profesorowi, a Leon Gérôme, niejednokrotnie nie patrząc nawet na rysunki, powtarzał:

– Za wcześnie. Proszę więcej pracować.

Wlastimil zaciskał zęby i rysował dalej. Nieraz w zgrabiałych rękach nie mógł utrzymać ołówka, żołądek skręcał mu się z głodu (na jedzenie szkoda było i czasu i pieniędzy, których zawsze brakowało), a on wpatrywał się w posąg i rysował go wciąż na nowo, usiłując odgadnąć oczekiwania profesora. Wieczorami wycieńczony rzucał się na łóżko w wynajętym nędznym pokoiku na poddaszu, gdzie nie było światła, wody ani pieca.

Pasja go nie opuszczała. A z jej oczu trudno było wyczytać, czy patrzy na niego z troską, z dumą, czy też jedynie ocenia, jak długo może jeszcze ciągnąć ten eksperyment, żeby nie stracić chłopaka.

Aż wreszcie zdarzył się cud. Na zadane po raz nie wiadomo który pytanie, czy profesor przyjmie go do pracowni, Wlastimil w końcu usłyszał upragnione „tak". I zaczął się intensywny czas studiowania malarskiego rzemiosła, doskonalenia oka i ręki, poznawania tajników sztuki. Nie wiedział, jak długo rodzice będą w stanie go utrzymywać, czy uda mu się dokończyć studia, chciał więc ten czas wykorzystać maksymalnie. Pasja zaglądała mu przez ramię, uśmiechając się triumfalnie, gdy Wlastimil pisał w liście do domu: „Prawdziwie można żyć tylko sztuką i dla sztuki. Nie mam czasu na czyszczenie butów, obiady. (...) Od kilku miesięcy wybieram się na wieżę Eiffla, ale chyba tam nie pójdę, bo kiedy?"[1].

Kiedy po dwóch latach z powodów finansowych musiał przerwać studia, pasja była już o niego spokojna. Wiedziała, że jej nie porzuci. Znał cenę i gotów był ją zapłacić.

„Uważam, że malarstwo to namiętność, która jest tak samo skomplikowana jak fuga Bacha. Trzeba je poznać, a potem wielbić lub porzucić. Sztuka jest powołaniem, religią, w którą trzeba wierzyć. Przypomina potok górski... Talentu, powołania nie można kupić za pieniądze, protekcje. Wymagają pracy, uporu, wyrzeczeń i... czasu"[2].

Czym Pasja mu się odpłacała za pracę, upór, wyrzeczenia i czas?

„Malarstwo jest dla mnie czymś więcej niż przelotnym uniesieniem. (...) Maluję ludzi po to, żeby ich lepiej poznać i to mi daje tyle satysfakcji. Malarstwo jest sztuką, która porywa”[3].

„Proszę mi wierzyć! Gdy trzymam w ręce pędzel, jestem zupełnie innym człowiekiem. Lepiej myślę, pewniej mówię. W czasie malowania odzyskuję dawno utracone siły. Staję się młodszy. Zapominam o dolegliwościach. Malowanie nie tylko potęguje energię, ale i budzi umysł oraz wyobraźnię; poza tym dla mnie nie musi już nic więcej istnieć”[4].

Jedynie o Adę Pasja nie była zazdrosna. Może nawet sama mu ją podsunęła? Bo przecież Ada nie była rywalką, lecz sprzymierzeńcem. I najpierw pokochała dzieło, a potem dopiero jego twórcę.

Miała kilkanaście lat, kiedy ojciec zabrał ją na wystawę malarstwa. Czy to była pierwsza wystawa w jej życiu, czy też bywała na wystawach już wcześniej? Ale nawet jeśli nie pierwsza, to szczególna, ponieważ ojciec zaproponował, że kupi obraz, który najbardziej się jej podoba. Ada wyszła stamtąd, przyciskając do piersi obraz Wlastimila Hofmana, z którego spoglądała na nią dziewczyna szczelnie okutaną czapką i szalikiem. W wysuwających się z rękawów dłoniach trzymała żebraczą miseczkę.

Czy właśnie tym wyborem Ada zwróciła na siebie uwagę Pasji? I czy to Pasja ukartowała jej małżeństwo z kuzynem Hofmana, tylko po to, by Wlastimil i Ada mogli się spotkać?

Kiedy Wlastimil w czasie pierwszej wojny światowej próbował uniknąć powołania do wojska, Ludwik Hammer zaoferował mu schronienie w swoim domu. Jego żona czekała już na nich w jadalni z obiadem. Na ścianie Wlastimil ze zdziwieniem zauważył swój obraz. Ten, który Ada dostała od ojca.

Czy to właśnie wtedy ruszyła lawina, której nie chcieli albo też nie mogli powstrzymać?

Pokój gościnny na poddaszu, zamieniony przez Wlastimila w pracownię, szybko zapełniał się obrazami. Ada pozowała chętnie, Wlastimil z zapamiętaniem malował jeden jej portret po drugim,

powietrze wibrowało od emocji, kompozycje, na których występowała Ada, należały do najlepszych, a Pasja z zadowoleniem śledziła rozwój sytuacji.

Jeszcze przed końcem wojny, ale już pewien, że go nie wezmą do wojska, Wlastimil wyjechał z Pragi ze zbiorem powstałych tam obrazów i z... Adą.

Była jego wielką miłością, żoną, muzą, modelką, przyjaciółką, opiekunką, świetną organizatorką i Aniołem Stróżem. Jak radziłby sobie bez niej zanurzony w świecie sztuki, pochłonięty malowaniem i niemający pojęcia o praktycznej stronie życia artysta?

Podczas pobytu w Paryżu potrafił ostatnie pożyczone przez Adę od sąsiadki i przeznaczone na obiad pieniądze wydać na pergaminowy wierzch bębna, który handlarz starzyzną sprzedawał po okazyjnej cenie. Wrócili wtedy do domu głodni, a Wlastimil nie pozwolił Adzie zdjąć futra i kapelusza, tylko od razu zabrał się do malowania. I ten namalowany w pośpiechu na pergaminie z bębna Portret żony okazał się jednym z najciekawszych obrazów Hofmana eksponowanych na wystawie w Paryżu.

Kiedy w czasie wojny Hofmanowie uciekali z Krakowa, artysta napakował plecak farbami i pędzlami, o innych rzeczach nie myśląc. W ostatniej chwili żona musiała przepakować bagaż, a potem go dźwigać, bo Wlastimil był chory i ledwie miał siłę nieść zawieszoną na szyi butelkę z wodą.

Wołyń, Stambuł, Hajfa, Tel Awiw, Jerozolima to tylko niektóre przystanki wojennej tułaczki. Wlastimil tworzył, kiedy tylko mógł, a Ada starała się, żeby miał czym i na czym malować. W Tel Awiwie za ostatnie pieniądze kupiła u stolarza ścinki dykty, a gdy już pieniędzy na dyktę i tekturę nie było, zbierała na śmietnikach puszki po konserwach i wycinała z blachy małe prostokąty i kwadraty, a Wlastimil malował na nich miniatury. Sprzedawali te obrazki albo wymieniali na jedzenie i ubranie.

Po niemal siedmiu latach poniewierki wrócili do Krakowa z tym samym plecakiem, z którym go opuszczali. Jedyne, co im przybyło, to prawie dwieście obrazów i ponad trzysta szkiców. I choroba Wlastimila, nieuleczalna epilepsja tropi-

kalna, którą cudem przeżył, ale powtarzające się co jakiś czas ataki mocno podkopywały jego siły.

Niestety, powojenny Kraków przyjął Hofmana niechętnie. Jego wystawa została ostro skrytykowana, nie został przyjęty na etat do Akademii Sztuk Pięknych ani na stanowisko kustosza muzeum w Sukiennicach. W takiej atmosferze rozgoryczony artysta nie mógł tworzyć. Postanowił porzucić Kraków.

I wtedy właśnie Jan Sztaudynger zaproponował Hofmanom przeprowadzkę do Szklarskiej Poręby, gdzie sam od niedawna mieszkał.

„Zobaczycie jaka piękna jest ta ziemia. (...) Odzyskacie tam dom i spokój. Pozbędziecie się zmartwień. Zjednacie sobie przyjaciół, a pracownia zapełni się modelami i gośćmi”[5].

I tak się stało. Ale nie od razu.

Wybierając się w drogę, Hofmanowie wiedzieli tylko tyle, że Szklarska Poręba leży gdzieś w pobliżu Jeleniej Góry, na dawnych mapach jej nie było. Zatrzymali się w gospodzie przy drodze, skąd Ada codziennie rano wyruszała w poszukiwaniu domu, gdzie mogliby zamieszkać. Osłabiony chorobą Wlastimil nie mógł jej towarzyszyć, siadywał więc w kącie gospody i rysował, czekając na żonę.

To Ada wybrała dom, który potem nazwali Wlastimilówką. To ona w Szklarskiej Porębie stworzyła artyście niezwykłą galerię. Przestronną, pełną światła, wysoką aż po niebiosa. I została jej kustoszem.

Codziennie rano biegała do parku miejskiego (ponad trzy kilometry od Wlastimilówki), rozwieszała na drzewach obrazy męża, a wieczorem albo gdy zanosiło się na deszcz, zbierała je i chowała w pomieszczeniu należącym do miejskiego wydziału kultury. Parkowa galeria funkcjonowała od września aż do pierwszych mrozów. To nie był dobry czas na sprzedaż obrazów, ale ta wystawa umożliwiła Hofmanom nawiązanie kontaktów w nowym miejscu.

To Ada porozmieszczała w różnych miejscach Szklarskiej Poręby kolorowe strzałki wskazujące drogę do Wlastimilówki.

A gdy nakazano im zmienić nazwisko na polskie pod groźbą wysiedlenia ze Szklarskiej Poręby, to ona zmobilizowała przyjaciół dziennikarzy do działania i inter-

weniowała u naczelnika, argumentując, że obrazy Hofmana są eksponowane w wielu zagranicznych galeriach, zmiana nazwiska wymagałaby więc zmiany podpisu na obrazach.

Kiedy on malował, ona sprzątała pracownię, robiła ramy do obrazów, oprawiała prace, przygotowywała farby, gotowała, zajmowała się domem.

Przeżyli ze sobą ponad pięćdziesiąt lat.

A gdy Ada śmiertelnie chora leżała w szpitalnej separatce, Wlastimil cały czas był przy niej. Towarzyszył jej, jak umiał – sprowadził sztalugi i malował bez wytchnienia. Próbował wygładzić jej cierpienie pędzlem, barwami pokrywał swoją rozpacz i zagubienie.

Jaki obraz podarował jej na drogę? Czy namalował anioła, żeby bezpiecznie przeprowadził ją na tamtą stronę? A może aniołów namalował wcześniej już dosyć i one wszystkie zbiegły się teraz przy łóżku umierającej? Ten, który do dziś strzeże wejścia do Wlastimilówki, podał jej rękę. Odchodząc, Ada spojrzała jeszcze na pochylonego nad sztalugami męża i zostawiła go pod opieką tej, od której go dostała – Pasji.

Ada umarła 6 marca 1968 roku, Wlastimil dokładnie w dwa lata później – 6 marca 1970. Oboje są pochowani na cmentarzu w Szklarskiej Porębie we wspólnym grobie ozdobionym drewnianą kapliczką z kopią obrazu Hofmana Spowiedź.

Zostały po nim obrazy. I pamięć. Ludzie, którzy znali Hofmanów, wspominają ich jako dobrych, życzliwych ludzi.

A ja myślę o nich, ilekroć jestem w kościele w Szklarskiej Porębie Dolnej, gdzie brali ślub i gdzie na ścianach wiszą obrazy Hofmana przedstawiające tajemnice różańca, na Złotym Widoku, gdzie lubił malować, i na Esplanadzie, gdzie Ada urządziła mu wystawę. I gdy spotykam Janeczkę z UTW idącą w kierunku Wlastimilówki na spotkanie wspomnień z tych czasów, kiedy z niedowierzaniem i dumą odnajdowała swoją twarz w twarzy Madonny i świętej Agnieszki na obrazach Hofmana. [•]

1. B. Czajkowski, *Portret z pamięci*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1971.
2. Tamże, s. 8; 3. Tamże, s. 12; 4. Tamże, s. 11; 5. Tamże, s. 187.

Hutnik formujący wyrób kryształowy z półpłynnej masy szklanej w obecnej Hucie Julia w Piechowicach.

Śląskie szkło

Huta Julia w Piechowicach

Sylwia Matyja

Karkonosze i okalające je kotliny jeleniogórska, kamiennogórska i kłodzka to artystyczna mekka, miejsce wielowiekowych tradycji szklarskich i zasobów przyrody, które przez wieki sprzyjały rozkwitowi w branży szklarstwa artystycznego.

Czym jest szkło? To substancja składająca się ze stopionego piasku krzemionkowego, związków sodu i wapnia, znana już 5 tysięcy lat temu w Egipcie i Mezopotamii jako barwione szkliwo, a w późniejszym czasie - perły, amulety i w końcu naczynia. Najstarsze z nich pochodzą z około 1470 roku p.n.e. Wydobyto je z grobu Thutmosisa IV. Były to wówczas ręcznie formowane z gorącej masy szklanej, niewielkie, wielobarwne i posiadające grube ścianki buteleczki na olejki i pachnidła, przeznaczone dla najbogatszych warstw społeczeństwa.

Od tamtego czasu wiele w technologii wytwarzania szkła się zmieniło, stopniowo bowiem coraz ważniejsza stawała się kwestia artyzmu i estetyki - naczynia miały być nie tylko funkcjonalne, ale również piękne i luksusowe.

Technikę dmuchania szkła odkryto dopiero w I w.n.e. w Syrii, co zapoczątkowało intensywny rozwój szklarstwa artystycznego w Europie. Szkło stało się przejrzyste i bezbarwne. W późniejszym czasie olbrzymie zainteresowanie wzbudzało krystaliczne i lśniące, cienkościenne szkło weneckie.

W XVII wieku pojawił się kryształ czeski oraz angielski - były jeszcze bardziej lśniące i klarowne, świetnie nadawały się do bogatego zdobienia szlifami i rytami. W tym też czasie mocno rozwinęły się techniki zdobnicze, dochodząc w wielu manufakturach szklarskich niemal do perfekcji.

W XVII wieku coraz bardziej zaczęło się liczyć charakterystyczne i rozpoznawalne „szkło śląskie", pochodzące z obszaru Dolnego Śląska, a szczególnie z Kotliny Jeleniogórskiej.

Pierwsze ślady szkła z tego regionu, w postaci przede wszystkim biżuterii, pochodzą z X-XI wieku. W XIII wieku trudniono się tu również produkcją witraży i naczyń.

Od XIV wieku pracownie szklarskie w większych osadach zaczęły przekształcać się w zdecydowanie korzystniej zlokalizowane

Zdobienie karafki ze szkła kryształowego w obecnej Hucie Julia.

Hutnik formujący wyrób kryształowy z półpłynnej masy szklanej w obecnej Hucie Julia w Piechowicach / fot. Wojciech Głodek

huty leśne, które miały lepszy dostęp do surowca i opału. Powstawały one głównie na terenie Karkonoszy, Gór Izerskich oraz w Kotlinie Kłodzkiej.

Najstarszą hutą w regionie jeleniogórskim była huta w Cichej Dolinie, nieopodal Piechowic (koniec XIII wieku).

Szkło śląskie w tym czasie nie było jednak najlepszej jakości - mało przejrzyste, zanieczyszczone i zabarwione na zielono (szkło leśne). Znaczna zmiana w jakości, formach i sposobie zdobienia szkła nastąpiła dopiero w czasie baroku, w drugiej połowie XVII wieku, by pełnię swego rozwoju osiągnąć w wieku XVIII.

W XVII wieku szklane wyroby z regionu Dolnego Śląska były jeszcze dekorowane w sposób prymitywny, nieporadny. Prawdziwy przełom nastąpił w XVIII stuleciu. Ówczesne wyroby zdobione były już kunsztowną, piękną dekoracją rytowaną, która była na tyle kosztowna, że na te wyroby mogli pozwolić sobie wyłącznie zamożni odbiorcy - mieszkańcy dworów królewskich, książęcych, a później już także szlacheckich i mieszczańskich. Trendem w sztuce zdobienia było wówczas rytowanie, którym dekorowano wyroby stanowiące prawdziwą ozdobę stołów. Były wśród nich kielichy, karafki, kufle, szklanice czy flakony na przyprawy. Zdobienia były zróżnicowane, począwszy od herbów rodowych, popiersi, scen rodzajowych z ważnych wydarzeń, pejzaży, panoram, poprzez motywy roślinne, postacie zwierząt, sylwetki kobiet z atrybutami, symbole, na ornamentach wstęgowo-wiciowych i wielu innych skończywszy. Powszechne było niepozostawianie wolnego, niezdobionego miejsca na wyrobach. W późniejszych okresach rokoka modne stało się złocenie fragmentów naczyń. Pod sam koniec wieku XVIII popularność zyskał styl klasycystyczny, zmieniło się zatem i zdobienie, ograniczone już raczej do motywów roślinnych, antycznych, ozdobnych inicjałów oraz -widoków miast.

W XVIII wieku w regionie wykształcił się tym samym charakterystyczny, lokalny styl w sztuce zdobienia szkła, śmiało konkurujący z przodującymi dotychczas czeskimi i niemieckimi. Liczba hut na

Dolnym Śląsku wzrosła trzykrotnie w porównaniu z poprzednim stuleciem, a zlokalizowane były one zwłaszcza w kotlinie jeleniogórskiej i kłodzkiej. Dominowały jednak huty w okolicy Szklarskiej Poręby i to właśnie w ich pobliżu zakładano ośrodki artystycznej obróbki szkła.

Najsłynniejszą i największą z hut w regionie był Huta Josephine, powstała w Szklarskiej Porębie, w 1842 roku, z polecenia rodu Schaffgotschów. Zakład był nowocześnie wyposażony i dawał pracę wielu doskonale wykwalifikowanym fachowcom, którzy do dyspozycji mieli trzy piece hutnicze oraz przyległe zakłady zdobnicze. Huta skupiała się wówczas głównie na produkcji serwisów dla europejskich rodów królewskich. Dlatego też wyroby Jesephine cechowała elegancja, szlachetne proporcje, kunsztowne zdobienia i doskonałej jakości wykonanie.

W 1862 roku w pobliskich Piechowicach Friedrich Wilhelm Heckert kupił leżący nad rzeką młyn, będący szlifiernią szkła i na tej parceli, w roku 1866, uruchomił swój własny zakład zdobniczy, a w 1889 - hutę szkła. Początkowo specjalizował się tylko w obróbce części do żyrandoli i w wytwarzaniu luster kryształowych. Niezbędny surowiec szklany pozyskiwał z Huty Josephine ze Szklarskiej Poręby. Jego wysokiej jakości wyroby z zielonego i oliwkowego szkła były początkowo malowane i złocone w stylu neorenesansowym.

W latach 80 XIX wieku Heckert postanowił wytwarzać ozdobne szkło w orientalnym stylu, inspirowanym indyjską prowincją Jodhpur. Produkty szklane o tej właśnie nazwie cechowały się charakterystycznym zdobieniem orientalnym, złoceniem oraz malowaniem transparentnymi emaliami. Koniec XIX wieku przyniósł natomiast serię ozdobnych naczyń, przypominających w swej formie ceramiczne naczynia starożytnej Grecji czy syryjsko-rzymskie szkła antyczne.

Kryzys gospodarczy oraz inflacja po I Wojnie Światowej spowodowały, że 8 listopada 1923 roku Josephinenhütte w Szklarskiej Porębie, huta Fritza Heckerta w Piechowicach oraz firma Kynast Kristal Neumann & Staebe w Sobieszowie połączyły siły, zawiązując towarzystwo akcyjne o nazwie

Pocztówka z widokiem na Hutę Fritza Heckerta w Piechowicach.

„Josephinnenhütte-Heckert-Kynast Kristallwerske A.G.", w skrócie „Jo-He-Ky". Od tego czasu dwie największe w Karkonoszach huty szkła rozpoczęły dalszy podbój światowych rynków, już pod wspólną marką. Za siedzibę spółki obrano Piechowice.

Całe przedsiębiorstwo zatrudniało aż 1400 pracowników fizycznych oraz urzędników i dysponowało czterema piecami wytopowo–wyrobowymi, około 800 warsztatami szlifierskimi w Szklarskiej Porębie, Piechowicach i w Sobieszowie, a także kilkoma podobnymi punktami na obszarze Kotliny Jeleniogórskiej. Każdy szklany wyrób, pochodzący ze zjednoczonej Josephine, był małym dziełem artystycznym zarówno w formie, jak i w dekoracji, co potwierdzały licznie zdobywane złote medale i wysokie odznaczenia.

Hutnik dmuchający bańkę szklaną
w dawnej Hucie Josephine

Głównym produktem było wówczas wysokiej jakości szkło kryształowe w stylu art deco, w postaci modnych serwisów do napojów, zestawów kryształowych do deserów czy kompletów do win i wódek.

II wojna światowa pogorszyła sytuację spółki. Od 1939 do 1940, sprzedaż spadła. Towarzystwo akcyjne należało wtedy do niemieckiego kartelu szkła gospodarczego.

Koniec wojny zaowocował przyłączeniem Śląska do Polski. Mimo zmian geopolitycznych nie zaprzestano produkcji. Doskonale wykwalifikowani niemieccy mistrzowie szkolili polskich robotników, mających ich wkrótce zastąpić. Sprawowanie władzy w spółce przejęło Państwo Polskie, które zabezpieczyło huty. Podczas działań wojennych wyraźnie ucierpiała huta szkła kryształowego w Piechowicach, którą jednak zdołano odbudować i ponownie uruchomić w 1956 roku.

Do roku 1958 nadal jeszcze używano wspólnej nazwy Josephine. W tym samym roku jednak Schaffgotschowie nabyli w Schwäbisch Gmünd hutę "Cecylia" i postanowili nazwać ją tak samo, jak swoją dawną hutę ze Szklarskiej Poręby. W związku z tym wytoczyli oni proces polskiej administracji państwowej o niezgodne z prawem używanie nazwy Josephine. Musiano ją zatem zmienić. Postawiono na krótszą, spolszczoną, lecz wciąż ko-

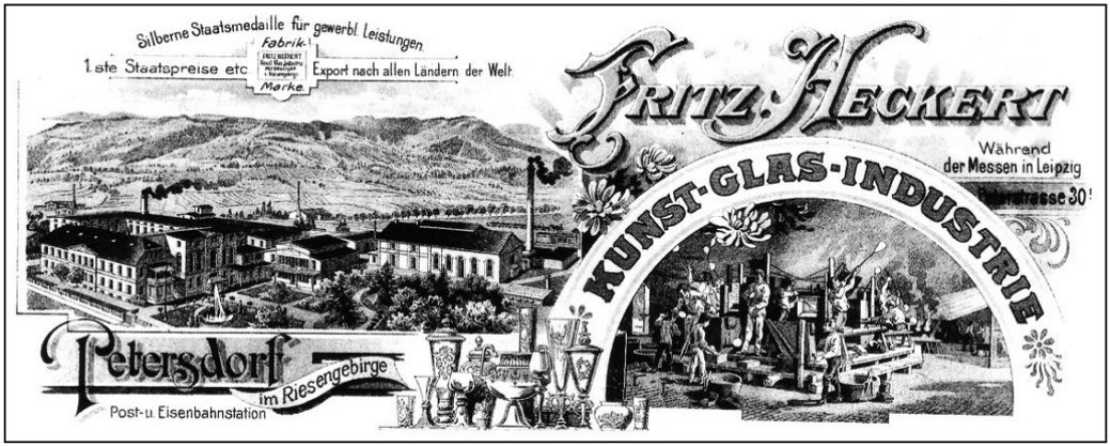

źródło: Stefania Żelasko, Fritz Heckert, Kunstglas Industrie 1866-1923, Glasmuseum Passau 2012

Hutnik nakładający na pisz

zczel rozgrzaną do 1200°C masę szklaną
w obecnej Hucie Julia w Piechowicach

jarzącą się z dawną marką i jej logiem, nazwę „Julia".

Ulegając kryzysowi w branży, hutę w Szklarskiej Porębie zamknięto w 1992 roku. Mimo to piechowicka fabryka nadal produkowała i funkcjonowała pod nazwą Julia. W 1993 roku państwowy zakład przekształcono w spółkę z o.o. z kapitałem amerykańskim. Głównym asortymentem były wtedy, przeznaczone zwłaszcza na rynek amerykański, kryształy użytkowe, dmuchane i prasowane. Niestety, metody zarządzania Amerykanów spowodowały zakończenie produkcji w Julii oraz ogłoszenie upadłości w 2000 roku.

Nadzieja pojawiła się dopiero w 2006 roku, kiedy prywatny, polski przedsiębiorca odkupił obiekt od syndyka. Nowy właściciel rozpoczął intensywne starania o przywrócenie produkcji w piechowickiej fabryce kryształu. Uzyskał również prawo do posługiwania się znakiem handlowym "Julia".

Karkonosze i okalające je kotliny jeleniogórska, kłodzka i kamiennogórska to artystyczna mekka, miejsce wielowiekowych tradycji szklarskich i zasobów przyrody, które przez wieki sprzyjały rozkwitowi w branży

szklarstwa artystycznego. Artyzm, o którym mowa, jest nieodłączną częścią w procesie produkcji także w dzisiejszej Hucie Julia w Piechowicach, funkcjonującej w dawnych budynkach słynnej w Polsce i na świecie Huty szkła Fritza Heckerta. Tam też nadal kultywuje się tradycyjny, ręczny sposób produkcji kryształu z wykorzystaniem wyłącznie prostych maszyn i urządzeń.

Huta Julia w Piechowicach jest otwarta dla turystów, można więc na własne oczy podziwiać artystyczny kunszt pracowników o kilkudziesięcioletnim doświadczeniu w swoim fachu.

Szczególnie imponuje podest hutniczy, z którego na żywo, z odległości zaledwie kilku metrów zobaczyć można hutników dmuchających i formujących wyroby z półpłynnej masy szklanej, a także stanowisko wolnoformowania, gdzie hutnicy przy użyciu bardzo prostych narzędzi i własnej wyobraźni formują fantazyjne figurki zwierząt, kwiatów itp. oraz widowiskowe stanowiska zdobnicze, wymagające niezwykłej precyzji, cierpliwości, wyczucia i zdolności manualnych. Wszyscy pracownicy, bez wrodzonego, bądź wypracowanego przez lata pracy zmysłu artystycznego, nie byliby w stanie wykonać tak cenionych w Polsce i na świecie, za swe formy, jakość szkła czy precyzyjność zdobin, kryształowych wyrobów.

Po przyjrzeniu się pracy hutników osoby zainteresowane technologią produkcji szkła kryształowego, w których obudzi się artystyczny duch, mogą samodzielnie spróbować grawerowania na kryształowej biżuterii lub szklance, czy malowania na kryształowych skałkach o przeróżnych motywach. Dzieci natomiast mogą wcielić się w role Młodych Hutników i spróbować swoich sił w specjalnie zaaranżowanym dla maluchów, bezpiecznym procesie produkcji. Zwiedzać Hutę Julia oraz wziąć udział w warsztatach można codziennie, w określonych godzinach, które wraz z cenami i innymi praktycznymi informacjami zamieszczone są na stronie www.hutajulia.com. [•]

fotografie nieoznaczone - archiwum Huty Julia

Na następnej stronie:
Strona z dawnego katalogu Huty Josephine, pochodzącego z 1930 roku.

816/2 S 2150

6236 S 2150

1131/1 S 2150

1377/1 S 2150

1029/9 S 2150

1352/5 S 2150

1202/1 S 2150

341/1 S 2150

784 b S 2150

784 c S 2150

1235/1 S 2150

1205/1 S 2150

506/6 S 2150

589/1 S 2150

595/10 S 2150

1007/2 S 2150

1007/1 S 2150

1063/7 S 2150

1322/8 S 2150

Współczesna kolekcja Huty Julia – METROPOLIS, autorstwa Sebastiana Pietkiewicza, nagrodzona prestiżowym wyróżnieniem MUST HAVE selected by Łódź Design Festival 201
fot. Olek Iwaszkiewicz

6.

Caspar David Friedrich auf der Wanderung ins Riesengebirge
(Caspar David Friedrich podczas wędrówki w Karkonoszach)
naszkicowany przez Georga Friedricha Kerstinga 18 lipca 1810
roku (obecnie w Staatliche Museen w Berlinie)

Karkonosze Friedricha

Wojciech Głodek

Karkonosze przyciągały twórców od zawsze. Zawsze były dla nich inspiracją i wyzwanie. Caspar David Friedrich to jeden z najsławniejszych malarzy niemieckiego romantyzmu. Znany jest głównie z symbolicznych krajobrazów z pogrążonymi w kontemplacji przyrody postaciami. Przedstawiał przede wszystkim świat przyrody; morze lub góry, drzewa lub gotyckie ruiny, a wśród nich pojawiły się także karkonoskie motywy.

Caspar David Friedrich urodził się 5 września 1774 roku w Greifswaldzie nad Morzem Bałtyckim w dzisiejszej Meklemburgii.

Miejscowość powstała, gdy cystersi założyli tu w 1199 roku klasztor Eldena (jego ruiny pojawiały się na wielu obrazach Friedricha). Naukę rozpoczął na miejscowym Uniwersytecie w Greifswaldzie, gdzie dziś wydział sztuki nosi jego imię (Caspar-David-Friedrich-Institut). Potem studiował jeszcze w Kopenhadze i Dreźnie, w którym ostatecznie osiadł.

Malował zimową i jesienną przyrodę. W poszukiwaniu plenerów podróżował na Rugię, w Karkonosze i Góry Harzu.

Jednym z jego najsłynniejszych obrazów jest *Der Wanderer über dem Nebelmeer* (pol. *Wędrowiec nad morzem mgieł*), które wykorzystaliśmy na okładce tego numeru. Obraz przedstawia postać samotnego wędrowca stojącego do widza plecami na skalistym szczycie nad przepaścią zasłoniętą przez mgły, które malarz sam zapewne niejednokrotnie podziwiał wspinając się na karkonoskie szczyty.

Prawdopodobnie jednak nie ukazał na tym obrazie żadnego konkretnego krajobrazu; jest to złączenie różnych widoków, jakie miał okazję zobaczyć. W głębi po prawej stronie można dostrzec wzgórze Zirkelstein ze Szwajcarii Saksońskiej, po lewej – czeski Růžovský vrch. Skały, na których wędrowiec stoi, to z kolei najpewniej Kaiserkrone.

Wśród innych prac Caspara Davida znalazło się jednak kilka

Caspar David Friedrich *Erinnerungen an das Riesengebirge* (Wspomnienie z Karkonoszy) 1835 - obecnie Ermitaż, Petersburg

Caspar David Friedrich *Riesengebirgslandschaft* (Krajobraz karkonoski)
1835 - obecnie Galeria Narodowa, Norwegia

Caspar David Friedrich *Landschaft im Charakter des böhmischen Mittelgebirges (Riesengebirge)* (Krajobraz w charakterze czeskich Karkonoszy) ok. 1835 - obecnie Alte Nationalgalerie, Berlin

Caspar David Friedrich *Ruine Eldena im Riesengebirge* (Ruiny opactwa Eldena w Karkonoszach) ok. 1834 - obecnie Muzeum Miejskie w Greifswaldzie

takich, które jednoznacznie ukazują Karkonosze – *Erinnerungen an das Riesengebirge* (pol. *Wspomnienie z Karkonoszy*), *Riesengebirgslandschaft* (pol. *Krajobraz karkonoski*) i *Landschaft im Charakter des böhmischen Mittelgebirges* (pol. *Krajobraz w charakterze czeskich Karkonoszy*).

Ciekawy jest również obraz *Ruine Eldena im Riesengebirge* (pol. *Ruiny opactwa Eldena w Karkonoszach*). Tutaj tło stanowią majestatyczne Karkonosze, zaś rysunek gotyckich ruin na pierwszym planie odpowiada położonemu w rodzinnym Greifswaldzie cysterskiemu klasztorowi Eldena.

Caspar ożenił się w wieku 44 lat z 25 letnią Christianą Caroliną Bommer, którą poznał zaledwie parę miesięcy wcześniej. Był wtedy u szczytu kariery, jak pisał: *dużo się zmieniło, odkąd ja przekształciło się w my. Mój stary, skromny dom zmienił się nie do poznania i tak się cieszę, że wszędzie jest tak czysto i przyjemnie*. Szczęście rodzinne nie opuściło go do końca życia, dużo gorzej jednak wiodło mu się w malarstwie. Jego obrazy straciły na popularności, bo nie zmieniły się na przestrzeni lat i przez wielu zaczęły być uważane za staromodne. Zmarł 7 maja 1840 roku w Dreźnie po drugim udarze.

Dziś Friedrich uznawany jest za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego malarstwa romantycznego. Jego obrazy wiszą nie tylko w renomowanych niemieckich muzeach, ale także w londyńskiej National Gallery czy petersburskim Ermitażu. [•]

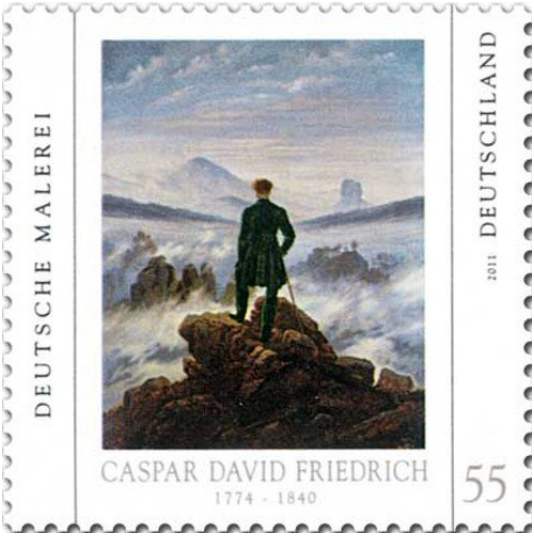

Motyw *Wędrowca nad morzem mgieł* na znaczku Poczty Niemieckiej

Pomnik poświęcony pamięci malarza Caspara Davida Friedricha stojący w Dreźnie, w którym mieszkał przez większą część życia. fot. X-Weinzar, 11 marca 2008 roku (cc-by-sa)

Widok na Szklarską Porębę z Marysina / fot. Wojciech Głodek, 5 lipca 2014 roku

Jan Sztaudynger

(fragment książki "Pod Wędrownym Aniołem")

Joanna M. Chmielewska

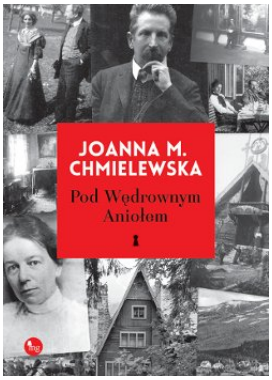

Pożółkła, rozdarta na pół kartka, wyblakły atrament, rzędy równych liter układające się w słowa, zdania, wiersze. Pod wierszem podpis: „16 I 1947 r., Szklarska Poręba, Jan Sztaudynger".

Wiem, że Sztaudynger w Szklarskiej Porębie mieszkał niedługo, zaledwie cztery lata. Dlatego pewnie tak niewiele pamiątek – jedna gablota w Domu Hauptmannów, a w niej zdjęcia, książki i ten rękopis...

Jest jeszcze izba pamięci w zespole szkół, który nosi jego imię, stowarzyszenie Puch Ostu, Sztaudyngerowska Trasa Turystyczna, Rajd Sztaudyngerowski, Salon Artystyczny Jana Sztaudyngera.

Domu przy ulicy 1 Maja 55, w którym mieszkał, już nie ma. Spłonął kilka lat temu. Zostały tylko ruiny i tablica pamiątkowa. I ścieżka nad Kamienną, którą poeta codziennie chodził do miasta na zakupy. Podobno nazywano ją ścieżką Sztaudyngera. Szłam nią dzisiaj, poszukując rozsypanych fraszek, które mogły wypaść autorowi z przeładowanego zakupami plecaka lub z kieszeni, gdy sięgał po chusteczkę.

Do Szklarskiej Poręby przywiodły go lalki. W 1946 roku jeździł z wykładami o teatrze lalek do różnych miejscowości, gdzie odbywały się kursy teatralne. Trafił i do Szklarskiej. A to jej wystarczyło. Rzuciła na niego urok, któremu wrażliwy na piękno i tajemnicę poeta nie mógł się oprzeć. Omotała go tak, że względy praktyczne zupełnie przestały się liczyć. Gdy na zboczu góry pod lasem, nieopodal rzeki

Kamiennej, znalazł pięknie położoną starą chatę, nie odstraszył go ani dziurawy dach, ani wnętrza wymagające remontu. Wielkim nakładem kosztów doprowadził dom do stanu używalności i zamieszkał w nim z żoną i dziećmi – nastoletnią Anią i malutkim Jackiem.

„Z okien domu rozciągał się przepyszny widok na sąsiednią górkę, gdzie rezydował, ukryty w drzewach, Wlastimil Hofman. Lipy rzucały zwiędłe listki przez okno na moje posłanie. A wizyty wiewiórek, które biegały jak koty po moich plecach, dopominając się orzechów, po prostu mnie urzekały. (...) Lubiłam zieloną górkę, która na łeb na szyję opadała w stronę domu. Jacek, wówczas maleńki, pasjami lubił turlać się z tej górki. Cieszyło mnie to, że dom nasz z jednej strony był parterowy, a z drugiej piętrowy”[1] – wspomina Anna Sztaudynger-Kaliszewicz.

Siadywał poeta na progu swojego domu, ścieżką nad Kamienną codziennie chodził z plecakiem do miasta na zakupy, spotykał się z ludźmi, wędrował po okolicy, zbierał grzyby, patrzył, słuchał i tworzył...

Fraszkami sypał jak z rękawa, jedna rodziła drugą, ta następną, i tak tworzył się łańcuszek, a poeta zapisywał, jeśli nie miał kartki, to na serwetce, rozłożonej kopercie, na czym się tylko dało. Najwięcej fraszek powstawało na pograniczu nocy i dnia, snu i jawy. Budziły go przed świtem, zmuszały do sięgnięcia po ołówek i kartkę, a jeśli tego nie zrobił, odchodziły, zostawiając żal, że ich nie zatrzymał.

Ile można stworzyć fraszek jednego dnia? Sztaudynger napisał kiedyś siedemdziesiąt w ciągu godziny, innym razem od godziny wpół do piątej rano do dwunastej w południe ułożył ich sto sześćdziesiąt trzy!

Fraszki i wiersze rodziły się w różnych sytuacjach, w czasie wędrówek, spotkań z ludźmi, rozmowy, codziennych czynności. Albo w kawiarni, jak ten wiersz, który leży teraz przede mną. Jedyna pamiątka tamtej chwili...

Mroźny styczniowy dzień. Za oknem śnieżna zadymka, tu w Turystycznej spokój otulony aromatem kawy. Jan Sztaudynger szuka po kieszeniach kartki. Znajduje. Trochę pomięta, na jednej stronie

jakieś obliczenia pisemne, ale innej nie ma. Zaczyna pisać...

Do obywatela starosty
Memoriał prosty...
Jest kawiarenka tu Turystyczna,
Gdzie kawa dobra i pani śliczna.
A śliczna pani i dobra kawa,
To jest, zaiste, poważna sprawa.
A więc zaklinam, dzisiaj, per bacco,
Ratuj ten lokal, panie Tabako.

Krążąca między stolikami kobieta czuje na sobie wzrok mężczyzny. W pierwszej chwili trochę ją to krępuje, ale potem prostuje się, odrzuca włosy na plecy, jej ruchy nabierają zmysłowości, bo to nie jest spojrzenie, które oblepia i wślizguje się pod spódnicę, ale które sprawia, że kobieta czuje się królową.

Gdzież mają bywać muzy skrzydlate,
Aby na skrzydłach bujać nad
światem?
Bez czarnej kawy i białej pani,
Cała poezja będzie do bani.
A więc zaklinam dzisiaj, per bacco,
Ratuj ten lokal, panie Tabako.

Ona kątem oka widzi, jak mężczyzna podnosi do ust filiżankę, upija łyk kawy, a potem znowu sięga po pióro. Przechodząc koło jego stolika, zerka na kartkę. Wiersz?

Choć do ust niosłem napary kawie,
Ja bez kozery te rzeczy prawię,
Bo ustek pani, choć takich ślicznych
Nie kosztowałem tu w Turystycznej.
A więc zaklinam dzisiaj, per bacco,
Ratuj ten lokal, panie Tabako.

Coś ją ciągnie do tego stolika. Ale brakuje pretekstu, by podejść. A mężczyzna ciągle pisze...

Zdobędziesz wtedy wdzięczność
w Porębie,
War czarnej kawy kwitł będzie
w gębie,
A biała pani, która ją parzy,
Będzie nas guślić czarem swej
twarzy,
A więc zaklinam dzisiaj, per bacco,
Ratuj ten lokal, panie Tabako![2].

– Dziękuję, wyśmienita kawa. A to dla pani. – Mężczyzna podaje właścicielce zapisaną kartkę.

Kobieta nie czyta jej od razu, bo właśnie weszli nowi goście i musi przyjąć zamówienie. Składa więc kartkę i wsuwa do stanika. Zjawiają się kolejni klienci, ktoś prosi o rachunek, ktoś przeprasza, bo niechcący wylał herbatę, trzeba szybko sprzątnąć, kartka w staniku pali jak ogień. Kobieta nie chce jej czytać na chybcika, między myciem szklanek

a przyjęciem zamówienia, a od kiedy mężczyzna wyszedł, nie ma chwili przerwy.

Wreszcie drzwi zamykają się za ostatnim gościem. Jeszcze tylko umyć naczynia, wytrzeć stoły, podłogę i można iść do domu. Ale ona nie idzie. Zaparza sobie kawę, choć nie powinna pić jej o tej porze, bo potem nie zaśnie, siada przy stoliku, przy którym on siedział, wyciąga kartkę ze stanika.

„Jest kawiarenka tu „Turystyczna", gdzie kawa dobra i pani śliczna... Bez czarnej kawy i białej pani, cała poezja będzie do bani... Bo ustek pani, choć takich ślicznych nie kosztowałem tu w Turystycznej...". Litery rozmywają się przed oczami. „A biała pani, która ją parzy, będzie nas guślić czarem swej twarzy...". Niewiele widzi przez łzy, które kapią do filiżanki. Jan Sztaudynger – ach, więc to ten dziwak, co w chałupie na odludziu mieszka. Śmiali się z niego, że tyle domów dobrych stoi, a on ruinę wybrał. I zamiast wziąć się za porządną robotę, wiersze pisze. Ona też tak myślała. Ale teraz myśli inaczej. Bo ten wiersz jest piękny. Może wiersze są potrzebne? A on tak po prostu pił kawę i pisał. Z głowy. I ani jednego skreślenia. Specjalnie dla niej napisał wiersz.

Biała Pani wsuwa wiersz z powrotem do stanika.

Może tak właśnie było, a może zupełnie inaczej. Kawiarenki Turystycznej dawno już nie ma, Biała

Pani i autor wiersza nie żyją, przetrwała tylko ta chwila sprzed ponad sześćdziesięciu lat zapisana na wyrwanej z zeszytu kartce...

Rękopis po śmierci matki przywiózł z Trójmiasta i podarował do muzeum syn Białej Pani...

Jan Sztaudynger wcale nie chciał stąd wyjeżdżać, ale podobno jego dom spodobał się jakiemuś milicjantowi, który dopatrzył się, że poeta ma jeszcze mieszkanie w Łodzi, a według obowiązującego wówczas prawa nie można było mieć dwóch mieszkań. Sztaudynger został zmuszony do opuszczenia Szklarskiej Poręby. Po latach namawiano go do powrotu, obiecywano willę i stałe wieczory autorskie, ale poeta był już związany z Zakopanem.

Jan Sztaudynger zmarł w 1970 roku po długim i szczęśliwym życiu (tak życzył sobie, żeby mu napisać na klepsydrze). W czasie choroby do końca pracował; pisał fraszki i dyktował córce wspomnienia.

I właśnie z tymi wspomnieniami w plecaku wędruję po Szklarskiej, szukając śladów Sztaudyngera. [•]

1. Jan Sztaudynger, Anna Sztaudynger-Kaliszewiczowa, *Chwalipięta, czyli rozmowy z Tatą*, Kraków 2000, s. XX.
2. Z rękopisu znajdującego się w Muzeum Hauptmannów w Szklarskie Porębie.

Schronisko pod Łabskim Szczytem widziane ze Szklarskiej Poręby
fot. Wojciech Głodek, 8 lutego 2015 roku

Muzeum Energetyki Jeleniogórsk

tekst Jolanta Kluba zdjęcia Wojciech Głodek

iej

Muzeum Energetyki Jeleniogórskiej mieszczące się w budynku starej siłowni wodnej w Szklarskiej Porębie jest prowadzone przez oddział Stowarzyszenia Elektryków Polskich w Jeleniej Górze. Można tutaj zobaczyć książki i czasopisma dotyczące elektryki, różnego rodzaju urządzenia i przyrządy, które wykorzystywane były zarówno przez dostawców, jak i odbiorców energii elektrycznej. Zapraszamy w podróż po fascynującym i nie do końca zrozumiałym świecie energii elektrycznej!

Skąd pomysł muzeum tutaj?

Po wojnie nie było w tym akurat rejonie żadnych zniszczeń wojennych, w związku z czym cała energetyka polska tutaj właśnie, w Jeleniej Górze, się odbudowywała. Pracowało tutaj wielu wybitnych znawców tematu, którzy z jednej strony wprowadzali bieżące rozwiązania, z drugiej – doceniali staranność i swego rodzaju piękno urządzeń dawnych, przedwojennych. Jednym z nich był inż. Ludwik Szczepaniak, który uznał, że szkoda, by te stare, działające jeszcze urządzenia, tak po prostu przepadły. Wymyślił sobie więc muzeum. Najpierw niewielkie, obejmujące dwa pomieszczenia (Minimuzeum otwarte w roku 1975), które jednak z czasem uległo rozbudowie, w efekcie której dzisiaj mamy się aż siedem sal.

Jedną z ciekawszych części jest ta poświęcona skutkom uszkodzeniowym przepływu prądu. Mamy tutaj na przykład zlepieńce, gdy pod wpływem przepływu prądu topi się piasek (efekt wygląda jak szkło).

Skutki są też czasami niezbyt przyjemne. Dla przykładu: kiedy przychodzi jesień, na liniach energetycznych często siadają ptaki. Nic się nie dzieje, póki siedzą, ale jak coś je wystraszy, wystartują jednocześnie, to już jest inna sytuacja. Dzisiaj na niektórych liniach specjalnie montowane są takie małe chorągiewki, które mają na celu odstraszanie ptaków, właśnie po to, by nie zdarzały się takie smutne sytuacje.

Tutaj mamy różne elementy wyposażenia pewnej rozdzielni energetycznej. Jednym z ciekawszych eksponatów jest woltomierz - był zamontowany na marmurowej ścianie (to jeden, było ich bardzo dużo). Co ciekawe, instrukcja dyżurnego stacji za czasów niemieckich mówiła o tym, że dyżurny powinien raz na dobę przecierać te urządzenia czystą szmatką.

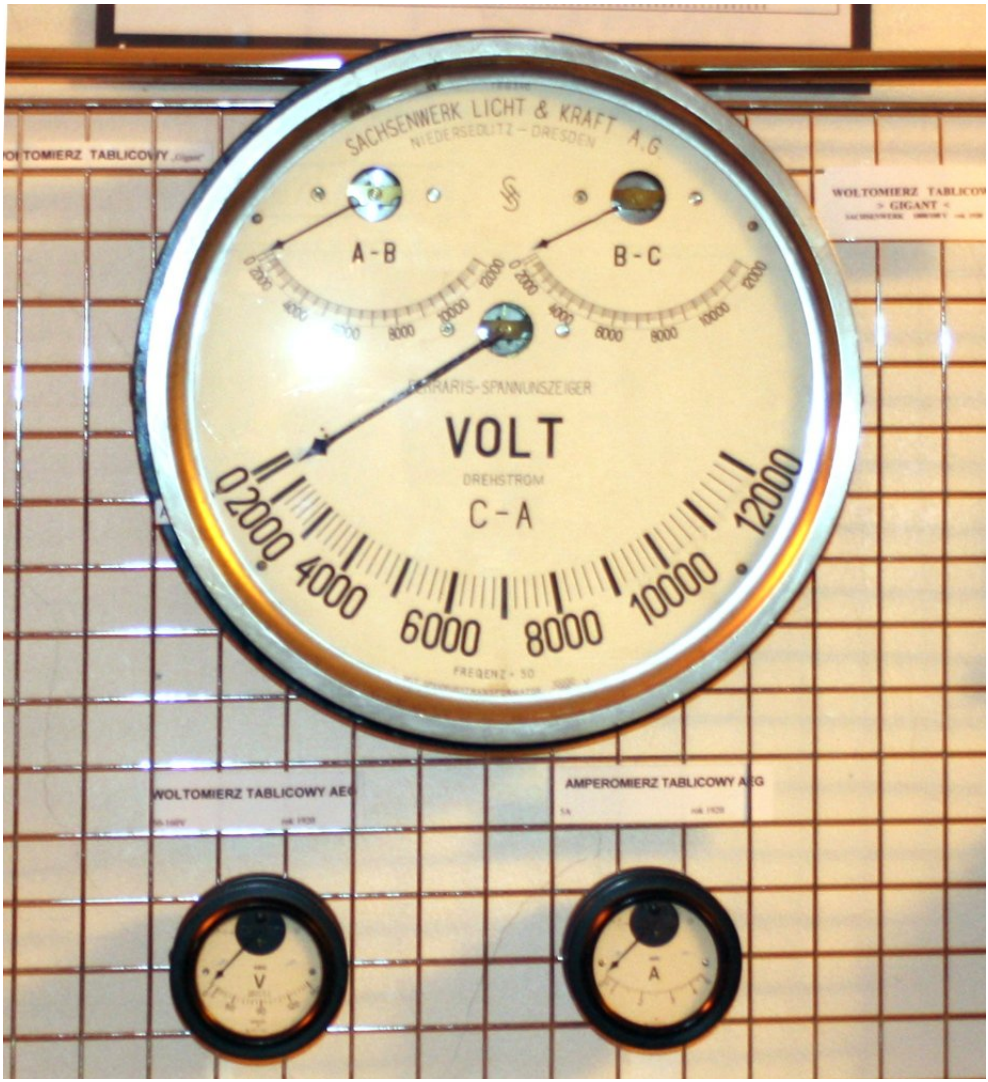

Jako że energetyka związana od dawna była z żywiołem wody, znajdziemy też w muzeum zdjęcia z powodzi z roku 1977 i 1981. Jeden z najstarszych eksponatów w muzeum to żarówka z włóknem węglowym Jest też wyłącznik średniego napięcia wyprodukowany przez warszawską firmę K.Szpotański. Kiedyś w muzeum wizytę złożył jego syn, było wtedy trochę wzruszeń.

Z elektrowni Turów pochodzi prezentowany również na wystawie fragment uzwojenia chłodzonego ciekłym wodorem. Fajną pamiątką jest mundur. Tu taka ciekawostka, że za jednej kadencji szefem ministerstwa właściwego ds. energetyki został człowiek w stopniu generała i wymyślił sobie, że umunduruje energetyków. Wymyślił więc stopnie energetyczne: inż energetyk I, II i III stopnia, oczywiście byli też dyrektorzy energetycy. W zależności od stopnia rózne było umundurowanie.

MUNDUR INŻYNIERA
ENERGETYKA
DYPLOM

Duże wrażenie robią izolatory na linie energetyczne. Oglądane z dołu wydają się malutkie, dopiero z bliska widać, jakie są ogromne.Świetnym urządzeniem jest ogromny agregat prądotwórczy o mocy - dzisiaj powiemy zaledwie - 40 kw. Pracował on do mniej więcej 1980 roku w sanatorium w Barcinku i stanowił tam rezerwowe zasilanie. Żeby go wnieść do muezum, trzeba było rozkuć okno, bo całe urządzenie się nie mieściło.

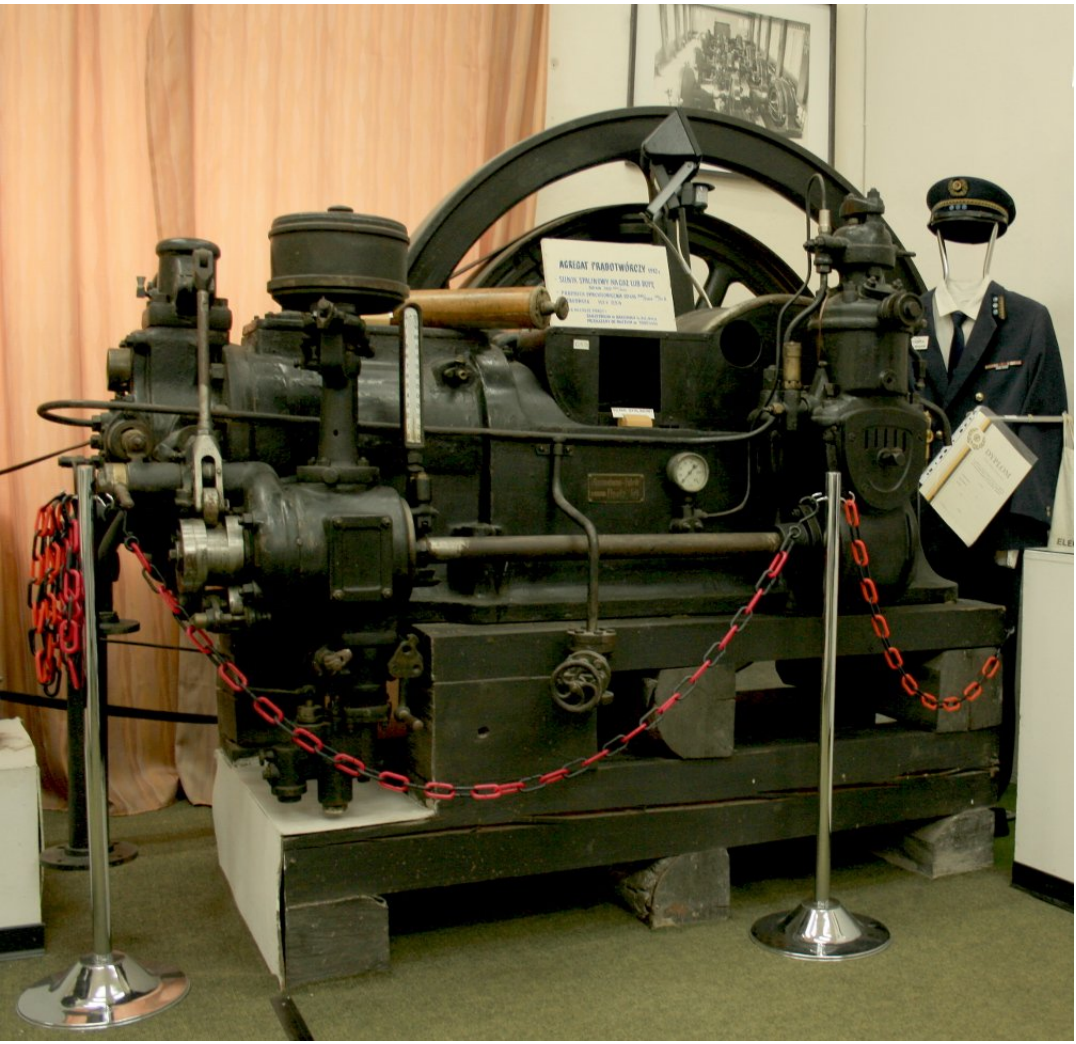

BEZPIECZNIKI
WYSOKIEGO
NAPIĘCIA
IZOLOWANY
OSPRZĘT
LINIOWY
kV
kV
1
2
3

Ciekawymi urządzeniami są także centralki telefonicznie. Energetyka bowiem posiada własną, niezależną od telekomunikacji łączność. Najpierw była to łączność taka tradycyjna, rozmowy łączono ręcznie, później wprowadzono automatyczne centrale, teraz przechodzi się na łączność cyfrową. Dlatego też tutaj obok umieszczony został stojak łączności po liniach energetycznych (telefonia nośna). Współczesny system to system łączności trankingowej, mniej więcej za rok wejdzie system TETRA - łączności cyfrowej. System będzie współdziałał z systemami innych służb ratunkowych (np. Policji), dzięki czemu będzie możliwe szybkie reagowanie w razie sytuacji kryzysowych.

Kolejny eksponat to komputer, który służył do drukowania nagłówków rachunków dla odbiorców (adresarka). Takie druczki wypisywali później już ręcznie inkasenci. Dzisiaj praktycznie już o tym nie pamiętamy.

Interesująca jest też sala z róznymi modelami – są to fragmenty prac dyplomowych, z dawnych szkół przyzawodowych i techników dla pracujących). Te modele służyły nie tylko zaliczeniu egzaminu dyplomowego, ale były wykorzystywano później też w laboratoriach, spełniały więc taką podwójną rolę.

Na wystawie znajdziemy też całkiem zwyczajne urządzenia, np. magnetofony szpulowe czy stare radio. Są to eksponaty, które najbardziej lubią oglądać najmłodsi zwiedzający, choć i strasi niejednokrotnie z spoglądają na nie z nostalgią. Bo w tych dawnych urządzeniach jest coś takiego magicznego. Te dawne opakowania, takie drewniane skrzynki... przyrządy z duszą. [•]

Świebodzice /fot. GringoPL (cc-by-sa)

Spółki zegarowe ze Świebodzic (2)

Fabryka Zegarów Heinricha Endlera

Rafał Wietrzyński

Spółka H. Endler & Co jest dzisiaj uznawana– obok koncernu Gustava Beckera – za najstarszą wytwórnię zegarów, jaka funkcjonowała na terenie dawnych Świebodzic. Firma ta, dzięki produkcji najwyższej jakości czasomierzy, odznaczających się przede wszystkim wysokim kunsztem artystycznym, zdobyła duże uznanie nie tylko na rynku lokalnym.

Jej produkty cieszyły się niesłabnącym popytem na rynkach światowych, czego dowodem jest rosnąca na przestrzeni lat sprzedaż zegarów m.in. do Norwegii, Szwecji, Rosji czy Stanów Zjednoczonych. Czasomierze z fabryki Endlera zdobywały wyróżnienia na międzynarodowych wystawach. Niestety, pomimo szerokiego uznania, spółce tej nie udało się przebrnąć przez kryzys ekonomiczny, który w latach 90. XIX wieku ogarnął całą branżę zegarmistrzowską w Świebodzicach. Fabryka musiała nie tylko ograniczyć zatrudnienie, ale wobec rosnącego zadłużenia postawiona została w stan upadłości, a następnie ogłoszono jej bankructwo.

Niektóre źródła historyczne wspominają, że siedziba spółki mieściła się na terenie Pełcznicy (obecnie dzielnica Świebodzic). Jednak dzisiaj wiadomo, że był to jeden z budynków przy ulicy Granicznej[1], w którym w maju 1865 roku postanowiono otworzyć fabrykę zegarów o nazwie: Regulator-Gehäuse Fabrik H. Endler & Co. Założycielem firmy był były pracownik koncernu Gustava Beckera, który wraz z kilkoma innymi współtowa-

1) Ulica Graniczna przed II wojną światową należała do Cierni. Dopiero na mocy uchwały z 1956 roku włączona została do Świebodzic. Jednak jeszcze w 1929 roku, według ówczesnej mapy Świebodzic, figurowała ona na obszarze Pełcznicy.

rzyszami postanowił usamodzielnić się i rozpocząć własną działalność związaną z produkcją czasomierzy. Prawdopodobnie powodem rezygnacji z pracy u Beckera była zapowiedź obniżki pensji o 25-30% dla większości pracowników koncernu (pomimo pomyślnej koniunktury na zegary). Z tej przyczyny wybuchł nawet spór, który próbowano załagodzić negocjacjami. Kiedy nie przyniosły one rezultatu, Endler postanowił odejść - wraz z kilkunastoma współpracownikami - i założyć własną wytwórnię zegarów.

Ważnym czynnikiem, który przyczynił się do powstania i rozwoju firmy, było przyznanie jej wsparcia finansowego ze strony tzw. spółdzielni pożyczkowo-kredytowej typu Schultzego z Delitsch[2]. Była to instytucja, której głównym celem było wspieranie kupców, rzemieślników oraz drobnych producentów z obszarów wiejskich i miast w różnego rodzaju

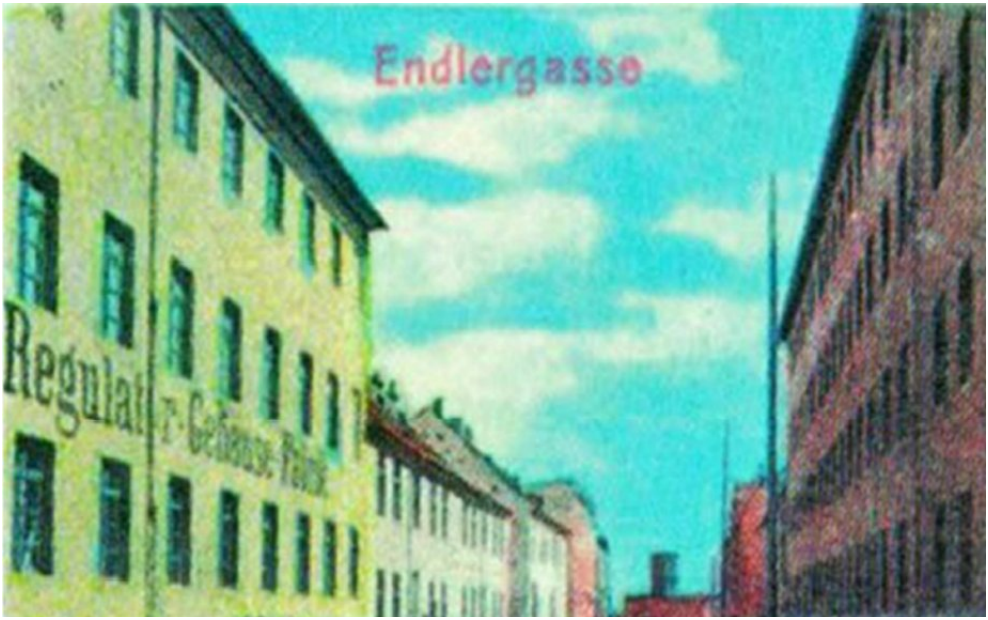

Stara pocztówka z końca XIX wieku przedstawiająca dawną zabudowę przemysłową przy ulicy Granicznej w Świebodzicach. Po lewej stronie widoczny jest budynek dawnej fabryki H. Endlera. Natomiast po przeciwległej stronie znajduje się budynek innego producenta zegarów: Kappel & Co (dziś już nieistniejący) / ze zbiorów autora

działaniach gospodarczych, a także obrona i uniezależnienie ich od lichwiarskich pożyczek.

Dzięki uzyskanemu wsparciu Endler mógł nie tylko nabyć rodzaju środki trwałe potrzebne na rozkręcenie produkcji, ale również wybudować pomieszczenia gospodarcze (obecnie budynek przy ul. Granicznej 3), w którym ulokowana została jego firma. Od jego nazwiska przyjęła się też nazwa ulicy (Endlergasse), na której w późniejszym okresie powstały budynki mieszkalne dla m.in. zatrudnionych w tym zakładzie pracowników. Kilkanaście lat później, w 1882 roku, po przeciwległej stronie fabryki Endlera, wybudował się inny producent zegarów – Kappel & Co, w którym produkowano początkowo tylko obudowy zegarowe[3]. Warto wspomnieć, że firma Endlera była pewnego rodzaju spółdzielnią[4], a sama fabryka wybudowana została według nowoczesnych – jak na tamte czasy – standardów. Zasilana była przez maszynę parową oraz wyposażona została w wiele innowacyjnych urządzeń, niezbędnych przy produkcji zegarów.

W fabryce Endlera produkowano nie tylko zegary kompletne, przeznaczone do użytku domowego. Dzięki posiadanej własnej stolarni mogła ona wytwarzać drewniane obudowy do zegarów oraz mechanizmy zegarowe. Dzisiaj szacuje się, że w okresie największego rozkwitu firmy produkowano w niej do 12 tysięcy mechanizmów zegarowych rocznie oraz do 18 tysięcy skrzyń drewnianych. Firma potrafiła zatem zaspokajać nie tylko własne potrzeby, ale też przeznaczać część produkcji na eksport i sprzedaż do

2) Franz Hermann Schultze z Delitsch (1808-1883) był pierwszym pomysłodawcą i organizatorem tego typu instytucji finansowo-spółdzielczych w Niemczech (stąd nazwa przedsięwzięcia). W Świebodzicach tego rodzaju organizacja zaczęła funkcjonować już w sierpniu 1862 roku. Zrzeszała 218 samodzielnych rzemieślników, 115 samodzielnych kupców i handlarzy, 87 fabrykantów, właścicieli kopalń i przedsiębiorstw budowlanych oraz 74 właścicieli furmanek, gospód i wyszynków.
3) Niestety budynek firmy Kappel & Co (obecnie Graniczna 4) nie zachował się w pierwotnej formie do naszych czasów. Z biegiem lat został częściowo wyburzony, przekształcony i dostosowany do potrzeb mieszkaniowych mieszkańców Świebodzic.
4) Źródła wspominają, że była to spółka partnerska. Endler miał jeszcze 5 partnerów.

innych zegarowych spółek (w tym także do firm znajdujących się na terenie Świebodzic). Historycy zajmujący się badaniem świebodzickich spółek zegarowych sądzą, że w całej historii istnienia spółki wyprodukowano w niej blisko 160 tysięcy kompletnych zegarów, co daje średnio ponad 5700 sztuk rocznie.

Produkcja czasomierzy w fabryce Endlera nie przebiegała jednak jednostajnie. Wiadomo, że do 1881 roku Endler wyprodukował niespełna 61 tysięcy czasomierzy (średnio 3800 sztuk rocznie), ale w historii spółki zdarzały się również takie okresy, w których całkowita liczba wyprodukowanych zegarów wynosiła ponad 6200 sztuk rocznie (np. w 1871 roku). Oczywiście wraz z rozwojem zakładu rosła liczba zatrudnionych w nim pracowników. Pod koniec lat 60. XIX wieku załoga przedsiębiorstwa wynosiła około 80 osób. W 1871 roku w fabryce zatrudnionych było 118 osób, w 1872 - już ponad 170, a trzy lata później - w 1875 roku - skład załogi liczył prawie 400 pracowników.

Produkty wytwarzane w fabryce Endlera cieszyły się dużą popularnością, zarówno na rynkach krajowych, jak i zagranicznych. W znacznej mierze przysłużyły się do tego wszelkiego rodzaju wystawy o zasięgu krajowym i międzynarodowym, na których prezentowane były czasomierze ze Świebodzic.

Ich wysoką jakość potwierdzał m.in. fakt, że na imprezach tych zdobywały one wiele wyróżnień i medali. Tak było m.in. podczas światowych pokazów w Wiedniu (1873 rok) czy też na wystawie krajowej w nieodległym Wrocławiu (1881 rok). Jedna z niemieckich gazet – Deutsche Uhrmacher Zeitung – relacjonując przebieg pokazów ze stolicy Dolnego Śląska, tak opisywała fabrykę Endlera:

Kolejnym osiągnięciem świebodzickiego przemysłu zegarowego jest zbiorowa wystawa zegarów pochodzących z fabryki H. Endlera. Przedsiębiorstwo zostało założone (...) przez grupę byłych pracowników fabryk Beckera; wg zasad Schulze'go z Delitsch. Firma ta ma obecnie status otwartej spółki handlowej (...) Dzięki dużemu zaangażowaniu założycieli i solidnym zasadom, zgodnie z którymi kierowany jest zakład,

fabryka rozwija się, a jej mury corocznie opuszcza ok. 12000 mechanizmów zegarowych najróżniejszego kalibru. Poza tym na terenie przedsiębiorstwa znajduje się duża stolarnia, która rocznie produkuje ok. 18000 skrzyń zegarowych. Bogato zaopatrzona fabryka posiada maszynę parową o mocy 6-8 koni mechanicznych oraz najnowsze specjalistyczne maszyny. Obecnie zatrudnia ponad 250 pracowników i pracownic. Jej produkty zostały wyróżnione medalami na wielu dużych wystawach. Także tutaj wystawiane fabrykaty, regulatory i zegary ramowe wyróżniają się solidną i dbałą robotą pod każdym względem. Szczególnie obudowy regulatorów są tutaj bez zarzutu (...) i pokazują nam nowe formy stosowane w produkcji i w wykończeniu zegarowych detali.[5]

Stara pocztówka z końca XIX wieku przedstawiająca dawną zabudowę przemysłową przy ulicy Granicznej w Świebodzicach. Po lewej stronie widoczny jest budynek dawnej fabryki H. Endlera. Natomiast po przeciwległej stronie znajduje się budynek innego producenta zegarów: Kappel & Co (dziś już nieistniejący) / ze zbiorów autora

Istotnym wydarzeniem w historii spółki była rejestracja znaku towarowego (czyli tzw. sygnatury). Dzięki temu znacznie podniósł się prestiż, uznanie i rozpoznawalność wytwarzanych produktów. Oficjalnie sygnatura zarejestrowana została w urzędzie patentowym w dniu 8 października 1877 roku. Odznaczała się ona charakterystycznym skrótem liter HECO (w środku), po bokach natomiast umieszczono napis: SCHUTZ MARKE (tj. marka chroniona). Sygnaturę wieńczyła u góry korona, u dołu natomiast umieszczone zostało koło zębate (atrybut mechanizmu zegarowego).

O ile lata 70. XIX wieku stanowiły znaczny rozkwit zakładu Endlera, o tyle kolejne dziesięciolecia to walka o przetrwanie przedsiębiorstwa. Szczególnie trudny okazał się tu początek lat 90., kiedy rosnące zadłużenie firmy, groźba utraty płynności finansowej oraz niemożność pozyskiwania dalszych kredytów bardzo niekorzystnie wpłynęły na rozwój spółki. Do tego dochodziły czynniki natury mikro- i makroekonomicznej, tj. mnogość fabryk zegarowych na lokalnym rynku i ich wzajemna konkurencja, czy też wojna celna między Niemcami i Rosją w latach 1890-1894, która w znacznej mierze ograniczyła eksport niemieckich towarów (w tym także zegarów) na Wschód.

W wyniku pogłębiania i nawarstwienia się niekorzystnych zjawisk, spółka Endlera postawiona została w marcu 1893 roku w stan upadłości. Wprawdzie niektóre źródła historyczne wspominają, że produkcja zegarów - ale w znacznie ograniczonym rozmiarze - była kontynuowana tu aż do 1895 roku, jednak brak na to dowodów.

Cały majątek firmy (park maszynowy i zabudowania fabryczne) przejęty został przez banki, a następnie - wystawiony na sprzedaż. Dopiero po około 2 latach na miej-

5) *Die Uhren auf der Schlesischen Gewerbe- und Industrie - Ausstellung in Breslau* (w: *Deutsche Uhrmacher-Zeitung*, nr 20 z 15.10.1881 r., s. 153).

6) Nie udało się ustalić na jakich warunkach Carl Böhm & Co usadowił się w zabudowaniach dawnej fabryki Endlera. Czy było to na zasadzie najmu? Wiadomo tylko, że w połowie 1896 r. majątek po dawnej fabryce Endlera był wystawiony na sprzedaż (wspomina o tym jedna z gazet poświęcona przemysłowi zegarowemu w Niemczech).

scu dawnej fabryki Endlera postawiono nową świebodzicką spółkę zegarową[6], która zapisała się w historii tutejszego przemysłu pod nazwą Carl Böhm & Co. Nowa firma funkcjonowała tylko przez 4 lata. W 1899 roku została ona włączona w skład Świebodzickiego Zjednoczenia Fabryk Zegarów - VFU (Vereinigte Freiburger Uhrenfabriken Aktiengesellschaft, incl. vormals Gustav Becker).

W pierwszych latach XX wieku budynki fabryki zostały nieznacznie przebudowane i zmodernizowane (zainstalowano w nich nowe urządzenia produkcyjne). Wkrótce potem VFU rozpoczęła w nich wytwarzanie nowych podzespołów zegarowych. Jednak jak długo trwała tu produkcja? Nie wiadomo. Przypuszcza się, że zmierzch produkcji podzespołów zegarowych w budynkach dawnej fabryki Endlera nastąpił po 1927 roku, a więc po przejęciu VFU przez Junghansa ze Schwarzwaldu, który zaczął stopniowo ograniczać produkcję zegarów w Świebodzicach.

[cdn]

Współczesny widok na dawną fabrykę zegarów H. Endlera przy ul. Granicznej w Świebodzicach
fot. Rafał Wietrzyński

fot. Robert Kuliczkowski

Spacer Borowym Jarem

Grzegorz Koczubaj

Borowy Jar to jedno z najładniejszych miejsc spacerowych w Jeleniej Górze. Tędy wiedzie część euroregionalnej magistrali rowerowej ER6, którą dojechać można aż do Bolesławca. Atrakcyjność tej części miasta dostrzeżono już w XVIII wieku i przez stulecia wykorzystywano turystycznie.

Proponujemy pieszą wycieczkę na górę Siodło w poszukiwaniu śladów dawnych atrakcji turystycznych. Już w XVIII wieku chętnie spacerowali tam jeleniogórzanie, bo ze skał znajdujących się na szczycie góry widoczna była wspaniała panorama Karkonoszy, a ze skał znajdujących się na zboczach Borowego Jaru podziwiać można było urokliwą Dolinę Bobru.

Jako pierwszy zagospodarowaniem jeleniogórskiego Parnasu zajął się nauczyciel, Daniel Stoppe, który z pomocą swoich uczniów na zboczach wschodniej części Siodła, między dwoma dużymi skałami, zbudował tarasy, przypominające starożytny amfiteatr. Miejsce to zostało nazwane Parnasem. Miała Jelenia Góra w swej historii burmistrza Johanna Christopa Schonaua,

fot. (3x) Robert Kuliczkowski

którego także to miejsce urzekło. Postanowił je zagospodarować na wzór greckiego Helikonu, wytyczając ścieżki spacerowe, które połączyły polany, skały i inne ciekawe miejsca. Przy każdym z nich były miejsca odpoczynku, a punkty te nosiły swoje nazwy. Odnaleźć je można jeszcze na poniemieckich mapach tego terenu. Nad wejściem do jeleniogórskiego Helikonu widniał napis: „Szczęście dobrem obywateli Jeleniej Góry".

Dziś zachowały się jedynie ślady dawnego ogrodu Muz i świątyni Apollina, których poszukiwanie będzie dodatkową atrakcją dla wędrowców. Warto wspomnieć, że to miejsce odwiedził w 1800 roku przebywający w Jeleniej Górze późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, John Quincy Adams.

Są plany przywrócenia niegdysiejszego zagospodarowania turystycznego w rejonie Borowego Jaru. Odnawiane są kolejne ścieżki – po ścieżce Poetów prowadzącej zboczami góry Siodło, pomiędzy wysokimi skalnymi formami, gdzie niegdyś znajdowały się punkty widokowe, podjęto próbę rekonstrukcji ścieżki Hipokrene.

Dawni jeleniogórzanie spacerowali Borowym Jarem co najmniej od połowy XVIII wieku, bo na pochodzących z tamtego okresu mapach zaznaczona jest już ścieżka. Kończyła się w miejscu, gdzie Bóbr. ostro skręca w lewo, w tzw. Weltende, czyli „Końcu Świata".

Na starych pocztówkach z początku XX wieku widać jeszcze na tej drodze tor kolejki, której prawdopodobnie używano do transportu drewna do powstałej przy Weltende papierni. Być może tory ułożono już wcześniej, a kolejka ułatwiała transport materiałów budowniczym mostu na Bobrze.

Wybierając się na wycieczkę Borowym Jarem, nie możemy pominąć Wzgórza Krzywoustego z wieżą widokową nazywaną „Grzybkiem". Roztacza się z niej piękny widok na miasto i Karkonosze. Dawniej działała tu popularna kawiarnia, ale po pożarze nie została odbudowana.

Wzgórze Krzywoustego, dawny Hausberg, to miejsce związane z najdawniejszą historią Jeleniej Góry - tutaj przed 1291 rokiem miał już stać murowany zamek.

Po zejściu z wieży widokowej „Grzybek" kierujemy się górą, przez tory kolejowe, zielonym szlakiem przez dawny Helikon. Ścieżka doprowadzi nas aż do wspomnianego Weltende, gdzie obecnie działają dwie elektrownie wodne. Wracamy do centrum miasta asfaltową drogą Borowym Jarem. Przed mostem kolejowym niech nie zdziwi nas widok ludzi czerpiących do butelek wodę ze źródełka. Ci, którzy ją piją, uważają, że jest lepsza niż ta z kranu. W każdym razie legenda mówi, że źródlana woda wywołuje u pijących ją prawdomówność. [•]

fot. Robert Kuliczkowski

Most na Jeziorze Modrym tuż przy Perle Zachodu, Siedlęcin.
fot. Arkadiusz Kubale, lipiec 2014

Słoneczny Słonecznik

Joanna Sadłowska

Zima za oknem, śnieg obecny. Czas wrócić do pięknej i słonecznej jesieni, którą w tym roku spędziliśmy w Karpaczu. Zabierzemy Was na słoneczny Słonecznik, aby podziwiać panoramę Karkonoszy. Chodźcie z nami!

Wędrówkę zaczynamy u podnóży Świątyni Wang. Stąd niebieskim szlakiem wyruszymy do góry. Szeroka, kamienna droga prowadzi aż do Strzechy Akademickiej, a podejście jest łagodne i przyjazne psim łapom. Niestety jest to również najbardziej uczęszczany szlak na Śnieżkę. Ludzi jest bardzo dużo. Psy spokojnie przypięte do pasa trekkingowego pną się w górę. Jestem pod wrażeniem, jak te ich króciutkie łapeczki dają radę.

Dochodzimy do pierwszego przystanku. Tu rozchodzą się szlaki - na Śnieżkę oraz na Słonecznik. Tym razem odbijamy w prawo w kierunku Polany. Tu idziemy po drewnianych podestach, a pod nogami mokre torfowiska. Torfowisko to jeden z rodzajów mokradeł. Teren tu jest stale mokry i charakteryzuje się małą przepuszczalnością. Z karkonoskimi torfowiskami wiąże się jedna z najbardziej absurdalnych tragedii, która rozegrała się w górach.

W kaplicy na Śnieżce znajduje się pewne wyjątkowe epitafium, spisane w XIX w. w języku polskim i niemieckim. Upamiętnia ono Józefa Odrowąż-Pieniążka, studenta z Warszawy, który w 1828 r. poniósł śmierć na Równi pod Śnieżką, na wysokości 1400 m n.p.m... Nie byłoby w tym nic osobliwego, gdyby nie fakt, że była to śmierć... przez utonięcie w torfowisku. Przynajmniej takie są domysły, bo ciała nigdy nie odnaleziono.

Autorka prowadzi bloga o życiu i podróżach z 3 psami - www.cardimania.pl. Jak pisze o sobie: *Psy są ze mną od zawsze (...) później poznałam cardigany i wówczas wiedziałam, że pies o uszach nietoperza, w kolorze marmurkowym będzie mój.*

Prawdopodobnie jest to kolejny ponury rekord, bo żaden inny Polak nie utonął dotąd tak wysoko. (wg www.goryiludzie.pl)

Dochodzimy na Polanę i naszym oczom ukazuje się piękna panorama Karkonoszy. Możemy stąd ujrzeć, jak bardzo majestatyczne są i piękne.

Pomimo barierek ludzie przechodzą i siadają na trawie, urządzają pikniki. My robimy kilka zdjęć, zapinamy psy i ruszamy dalej. Ruch na szlaku jest spory. Psy są zachwycone, ciągną do góry - spokojnie moglibyśmy startować z nimi w canicrossie*. Szlak robi się kamienisty i wąski. Mijamy się z ludźmi. Część z nich boi się psów, które nie zważając na nic i na nikogo pragną iść dalej, szybciej i wyżej.

Docieramy do Pielgrzymów. Wybieramy sobie miejsce z boku, tam gdzie nie ma ludzi. Pielgrzymy to formy skalne, które sięgają niemal 25m wysokości. Składają się z 3

potężnych grup skalanych i kilku mniejszych. Z daleka wyglądają jak wędrowcy, stąd nazwa Pielgrzymy. Największy z nich w 1757 roku został uszkodzony przez uderzenie pioruna. Robimy tu kilka zdjęć, układając na skałce dziewczyny. Robi się coraz bardziej tłoczno, więc ruszamy dalej. Wszak przed nami jeszcze kilkanaście kilometrów marszu.

Krajobraz zaczyna się robić zdecydowanie górski - niska roślinność i coraz bardziej strome podejście. Jest słonecznie i ciepło. Robimy po drodze przystanki, dziewczyny też jakby nieco osłabły - my się czujemy zdecydowanie gorzej od nich.

Docieramy na szczyt - mamy serdecznie dość. Na całe szczęście kamienna ławka jest wolna (została tutaj postawiona w 1906 roku, a fundatorem jest wrocławski oddział RGV - niemieckie towarzystwo turystyczne), więc rozsiadamy się i posilamy. Widoczność jest całkiem dobra - możemy podziwiać kotlinę jeleniogórską. Uwielbiamy ten stan, kiedy głowa wolna od wszystkiego, wiatr smaga twarz i jesteśmy sam na sam z górami. Odcinamy się od ludzi wokół i czujmy się po prostu wolni!

Słonecznik swoją nazwę zawdzięcza temu, że mieszkańcom Borowic, Podgórzyna i Przesieki słońce nad nim wskazywało południe.

Kształt skały podobnej do postaci człowieka dał okazję do powstania wielu legend. Według jednej z karkonoskich legend, jest to diabeł, który chcąc pokrzyżować szyki Liczyrzepie i postanowił zasypać głazami Wielki Staw, aby zatopić przy tym Kotlinę Jeleniogórską. Tak się zaangażował w swych niecnych poczynaniach, iż przegapił wschód słońca i kiedy dzwoniono na Anioł Pański skamieniał. Nazywano go "Diabelskim Kamieniem". Dawniej w jednej z legend lokalizowano w skale siedzibę Ducha Gór – Liczyrzepy nazywając skałę "Gniazdem Ducha Gór".

Ruszamy dalej w kierunku Wielkiego Stawu. Droga jest bardzo

* Canicross to stosunkowo młoda dyscyplina sportowa pochodząca od wyścigów psich zaprzęgów. Pies biegnie przodem w specjalnych szelkach, do których przypięta jest linka nie krótsza niż 2,5 metra ze specjalnym amortyzatorem łagodzącym on szarpnięcia psa i biegacza. Sam zawodnik zaś ma uprząż na biodrach, przenosi ona energię psa i ułatwia mu bieg. Podstawowe dystanse mają około 5 kilometrów. [przyp. red.]

przyjemna, psy zachwycone gnają przed siebie. Spotykamy na szlaku wielu psiarzy, w tym również takich, którzy psy puszczają luzem i nie są w stanie odwołać ich... Duży ruch na szlaku, wielu ludzi, którzy niekoniecznie muszą lubić psy lub się ich po prostu boją – psy obowiązkowo prowadzimy na smyczy! My spotkaliśmy się z psami biegnącymi luzem w Kotle Wielkiego Stawu. Jest tu wąsko, dużo ludzi robi zdjęcia, podziwia widoki. Zdecydowanie psy stojące na środku i niekoniecznie przyjaźnie nastawione do siebie, to czysta nieodpowiedzialność. Po cieplejszej wymianie zdań z właścicielką, nastąpiła obraza majestatu i Pani raczyła pieski zabrać. Będziemy zawsze piętnować takie zachowanie, bo nie prowadzi ono do niczego dobrego, a na pewno nie nastraja ludzi pozytywnie do psów na szlaku.

Wielki Staw - robi na nas wielkie wrażenie. Ze względu na wyjątkową roślinność i faunę, rejon wokół stawu stanowi rezerwat ścisły i objęty jest zakazem wstępu. Wiel-

ki staw oglądać można jedynie znad Kotła Wielkiego Stawu. Budzi strach i szacunek do gór. To kolejne miejsce, które przypomina nam o tym, że góry są nieprzewidywalne. Kocioł Wielkiego Stawu stanowi niebezpieczne miejsce zimą, schodzą tu liczne lawiny oraz tworzą się groźne nawisy śnieżne.

Idziemy dalej przed siebie, prosto do naszej ukochanej Strzechy Akademickiej. Pogoda zmienia się, zaczyna wiać coraz mocniej. W Schronisku brak miejsc, zjeść możemy tylko na zewnątrz. Stawiam na ulubioną gulaszową, którą tu podają wyśmienitą. Miska gorącej zupy ląduje częściowo w brzuchu i przyjemnie rozgrzewa, a częściowo na kurtce - jedzenie na wietrze jest jednak trudne.

Najedzeni, wypoczęci wyruszamy na ostatni odcinek szlaku, który prowadzi nas prosto do auta – Hurra!!! Tej nocy zasypiamy wszyscy w ciągu 5 sekund i śnimy nasze górskie sny! [•]

fot. (x4) Joanna Sadłowska

Ślęża

Z psem przed siebie, czyli jak się do tego zabrać?

Anna Jędrzejewska

Miejski park w godzinach szczytu spacerowego oraz klasyczny, ogólnie dostępny szlak górsko- pagórkowaty, na przykład na Ślężę w ładną, weekendową pogodę. Co łączy te dwa miejsca? Zagęszczenie człowieka na metr bieżący ścieżki. Co odróżnia? Procent psiego współtowarzystwa.

Jako stała bywalczyni obu tych miejsc zastanawiam się skąd taka różnica. Bo w to, że wśród osób wybierających mniej zurbanizowany spacer jest mniejszy odsetek właścicieli psów ciężko mi uwierzyć.

Więc dlaczego model bilansu kończyn 2+4 jest mniej popularny podczas podróżowania, zwłaszcza tego aktywnego?

Skoro często widzę dzieci, dziarsko drepczące nawet po kamienistych szlakach, a moja znikoma wiedza parentingowa mówi mi, że powinny co najmniej wyrażać swój sprzeciw wokalnie i żądać dostępu do lodów gałkowanych, to dlaczego o wiele rzadziej widzę Pimpka towarzyszącemu zdobywaniu kolejnych szczytów czy odkrywaniu miast? Ano badania psiarskiej społeczności prowadzone przeze mnie w środowisku parkowym pokazują tendencje pedagogiczno-nadopiekuńcze oraz niepewność losu, bynajmniej niezwiązaną z wahaniami kursu walut a z naszymi futrzastymi podopiecznymi .

Fafik nie da rady iść z nami ma za krótkie łapki/za kiepską kondycję/za wielki brzuch/je tylko suche chrupki a nie puszki/prze-

Autorka jest właścicielką 2 adoptowanych suczek: 5 letniej Pufy i 2 letniej Bu. Wszystkie 3 są miłośniczkami podróży małych i dużych, szczególnie zakochane w Dolnym Śląsku. Z podróży w nieznane w towarzyskie futer i z chęci dzielenia się pomysłami na aktywnego spędzania czasu powstał blog o przygodach, miejscach i jedzeniu - pufoswiat.blogspot.com

cież dla niego Śleża to jak dla nas Mont Everest... Blanc... no dobra, Zawrat przez Orlą Perć! Woli zostać w domu z babcią.

Hej! Ludzie! Po pierwsze Pimpuś po stokroć woli iść gdziekolwiek, byle z Wami. Po drugie: a czy my wszyscy mamy kondycję godną biegu Rekruta?

Jeśli Wy macie, bardzo Wam zazdroszczę i przy okazji pytam czy na diecie pierożkowo-ciasteczkowej można sobie takową wyrobić, bo by mi się jednak trochę tej kondycji przydało.

Bądźmy realistami, bez odstawienia pierożków nie ma szans.

Ale nie przeszkadza mi to w każdy wolny weekend, w każdą wolną sobotę, bo w niedzielę biegam po wrocławskich targowiskach uprawiając inny rodzaj joggingu, zapakować do auta sobie, plecak,

Szrenica

faceta, futra i ogony czyli moje dwie suki, w dowolnej kolejności i konfiguracji, i ruszyć odkrywać jak bardzo moja mapa szlaków rowerowych czyli dla mnie pieszych, nie pokrywa się z rzeczywistością. Hej, w góry! Lub też ruszyć na podbój kolejnego miasta i sprawdzać jak bardzo jest psiolubne i czy w towarzystwie moich futrzaków mogę w nim wypić moje ulubione latte z syropem orzechowym.

W związku z tym mianuję siebie i psice moje samozwańczymi chodzącymi przykładami, że każdy człowiek, który ma takie chęci i każdy pies, jak moje 2 razy po 9 kilo, po goleniu po 8 kilo żywej wagi, może podróżować i po górach i po miastach i to stadnie i wspólnogatunkowo.

A poniżej autorski poradnik jak temat podróżowania z psem ugryźć, szczególnie od futrzastej strony, z naciskiem na góry i pagóry, bo wiadomo - w górach jest wszystko to, co kocham, a miasto do zwiedzania zawsze jawiło mi się jako prostsze i niewymagające większego przygotowania. Nawet jak się zgubię, mogę zapytać o drogę, albo wypić dodatkową kawę w kawiarni i przemyśleć swoje dalsze posunięcia. W górach ciężko o kawę.

Dla kogo?

Skoro zakładamy, że wędrowanie po górach jest dla każdego człowieka, niezależnie od wieku i kondycji, takie samo założenie przyjmijmy w stosunku do czworonogów. I tak samo ze względu na wiek, codzienną aktywność, lub jej brak a nawet chęci - dobierać będzie-

Góry Kamienne

my trudność trasy, długość, ilość postoi. Jeśli nie jesteśmy pewni czy dobrze oszacowaliśmy możliwości pieseła, przyjrzyjmy mu się pod koniec wyprawy. Zmęczony i radosny – super! Podobało się, dobry dystans, można nawet zwiększać. Wzrok godny Hannibala Lectera, totalna obraza i brak reakcji nawet na psie ciasteczko - trochę za dużo jak na ten raz. Jestem jednak pewna, że każdy właściciel mniej więcej zna możliwości swojego podopiecznego i jest w stanie na początek wybrać odpowiednią trasę.

Obawy co do piesków za bardzo kochanych żywieniowo? Spokojna głowa. Mówi to właściciel psa, w chwili adopcji wyglądającego na posiadającego najwięcej babć i najwięcej dokładek do każdego z 6 posiłków dziennie.

Nasza pierwsza wspólna wyprawa to ta na Szrenicę. Czy miałam obawy o Pufinkową kondycję? Może małe. Ale założyłam, że jeśli nie da rady wejść, zmieści mi się do plecaka, a z górki awaryjnie mogę ją skulać jak wielką włochatą kulkę którą swoją drogą przypominała.

Żartuję. Wcale nie planowaniem jej nieść.

Pufa mało tego że dała radę, czym mnie totalnie zaskoczyła i utwierdziła w tym co powiedział mi wcześniej zaprzyjaźniony psi trener - każdy zdrowy pies, nawet ten, który wcześniej spędzał czas na kanapie, albo w schroniskowym boksie, nawet ten z za grubą ochronną warstwą tłuszczu da radę przejść każdy rozsądny dystans.

Przebiec nie, przejść, przedreptać TAK. Rozsądny, czyli może nie rzucajmy się na 30 km przemarsz szczytami Karkonoszy.

Ok. Mamy psa, wiemy, że możemy zabrać go ze sobą, mamy pomysł na wypad i... właśnie - jak delikwenta ogarnąć, w co ubrać i co dla niego zabrać?

Pytania, które mi spędzały sen z powiek, kiedy uświadomiłam sobie, że adopcja Pufy to dopiero początek pytań bez szybkich odpowiedzi.

Ekwipunek

Każdy szanujący się podróżnik wie, że są sprzęty bez których ruszać się nie należy. U mnie to mapa, pasztet do kanapek i aparat.

Każdy podróżnik wie, że w górach szczególnie należy zachowywać

się w określony sposób. I wytyczne takie zawierają przepisy Parków Narodowych i Krajobrazowych. A większość z nich wyraźnie mówi, że pieski a i owszem, mogą, ale na smyczy. Dla bezpieczeństwa ich samych, przyrody wokół i innych podróżników.

No i pięknie i mądrze.

Ale kilkugodzinny marsz z linką w spoconej ręce to zdecydowanie nie jest szczyt marzeń i spełnienie idyllicznego obrazka o wędrówce z potomkiem wilka u boku. Jeśli ktoś lubi jeszcze podziwiać widoki i nie daj boże patrzeć na nie przez wizjer aparatu, niechybnie skończy się taka wędrówka linką między nogami i bliskim i szybkim spotkaniem twarzy ze szlakiem.

Rozwiązania są dwa (pogodzenie się z losem nie wchodzi w grę).

Smycz typu Flexi - niezależnie od opinii o niej jako narzędziu wychowawczym ma zaletę - nie pałęta się pod nogami, szczególnie przypięta do nas samych - pas biodrowy plecaka, saszetka, tzw. nerka, czy pasek od spodni. Pies na sznurku, nasze ręce wolne. Można machać, robić zdjęcia, kontrolować mapę, cokolwiek dusza zapragnie.

Pas biodrowy do dogtrekkingu czy canicrossu, czyli profesjonalna uprząż łącząca nas i psa, najczęściej w komplecie ze smyczą z wszytym amortyzatorem. Dodatkowy wydatek. Fajny, jeśli częściej niż raz do roku wybieramy się z psem w góry.

Mimo kosztów ma dwie zalety - ta sama jak przy flexi, czyli nieplątanie się psa i druga - super bajerancko wyglądamy w nim na zdjęciach!

Ja przeszłam oba rozwiązania, aktualnie opieram się na tym drugim. Wiem, że to daje również komfort moim psom i... super wygląda na zdjęciach. A! I grzeje w nerki, zimą ogromny plus.

Micha, woda dla psa, zestaw psich ciastek - im bardziej śmierdzące, tym moje psice chętniej współpracują przy robieniu zdjęć.

Fajnie jakby futrzak miał możliwość być przyczepionym do nas przez szelki. Obroża sprawdza się lepiej w mieście. My też wolimy na szlak wyjść z plecakiem niż z torebką, nawet najbardziej gustowną.

* * *

Czyli pies gotowy, wyposażony. Pozostaje nasze nastawienie.

Ja osobiście czerpię jakąś mistyczną przyjemność wędrując z psem. Mimo, że obie moje psice wyglądem daleko odbiegają od

Rudawy Janowickie

wilka, przemierzanie z nimi szlaków, dzielenie się targanym przez całą tą trasę pasztetem, a nawet współdzielenie niedoli, kiedy pada czy kiedy któreś ze schronisk odmawia wpuszczenia nas razem, bo niestety i tak się zdarza, nad czym ubolewam, jest czymś co uzależnia.

Po 2 latach spędzonych z Pufą a od pół roku również z Bu, nie wyobrażam sobie innej formy spędzania czasu niż aktywnie i z nimi. Do teatru ich nie zabieram, shopping również wolę z przyjaciółką niż w futrzakiem, ale wypad w góry czy na zwiedzanie jakiegokolwiek miasta - tylko z futrami.

Gorąco polecam spróbowanie. Może i Wy przekonacie się do takiej wspólnej aktywności? A może kiedyś uda nam się spotkać na szlaku? Byłabym z tego powodu przeszczęśliwa! [•]

fot. (5x) ze zbiorów autorki

Góry Sowie

Granią ze Szklarskiej Poręby do Karpacza

Michał Machnacki

Szklarska Poręba - 2:20 h (6,2 km) SZLAK ŻÓŁTY - **Schronisko Pod Łabskim Szczytem** - 1:00 h (2,0 km) SZLAK ŻÓŁTY - **Mały Śnieżny Kocioł** - 0:25 h (1,6 km) SZLAK CZERWONY - **Pod Wielkim Szyszakiem** - 0:15 h (0,9 km) SZLAK CZERWONY - **Czarna Przełęcz** - 0:45 h (2,4 km) SZLAK CZERWONY - **Petrova bouda** - 0:40 h (2,5 km) SZLAK CZERWONY - **Schronisko PTTK Odrodzenie** - 1:10 h (3,3 km) SZLAK CZERWONY - **Słonecznik** - 0:55 h (3,0 km) SZLAK CZERWONY - **Spalona Strażnica** - 0:25 h (1,6 km) SZLAK CZERWONY - **Schronisko Dom Śląski** - 0:40 h (1,0 km) - **Śnieżka** - 0:15 h (1,0 km) - **Schronisko Dom Śląski** - 0:35 h (2,2 km) SZLAK CZERWONY - **Schronisko PTTK Nad Łomniczką** - 0:50 h (3,3 km) SZLAK CZERWONY - **Karpacz Orlinek**

44 GOT • +1596 m -1442 m • 31 km • 10:15 h (trasa zawiera odcinki zamknięte w zimie)

Karkonosze to najwyższe pasmo Sudetów, które rozciąga się od Przełęczy Szklarskiej do Przełęczy Lubawskiej na przestrzeni ponad 40 km. W różnych miejscach szerokość pasma sięga od 8 do 20 km.

W granicach naszego kraju Karkonosze zajmują powierzchnię około 185 km², reszta - aż 650 km² - znajduje się po stronie czeskiej.

Nie oznacza to, że po polskiej stronie nie można zaplanować świetnych pieszych wycieczek o różnym stopniu trudności. Chciałbym przestawić jedną z nich, biegnącą w większości granicą między Polską a Czechami.

Start: Szklarska Poręba

Naszą bazą noclegową i miejscem pobytu jest wspaniała Szklarska Poręba, położona w dolinie Kamiennej i jej dwóch dopływów Szklarki i Kamieńczyka. Stąd rozpościera się wspaniały widok na Grzbiet Karkonoszy. Z okien willi gdzie mieszkamy, widać po prawej Szrenicę 1362 m n.p.m., następnie Schronisko pod Łabskim Szczytem, Łabski Szczyt i Śnieżne Kotły, które będą pierwszym etapem mojej wędrówki.

Ruszam kwadrans po szóstej na najwyższy szczyt Karkonoszy

i jednocześnie Sudetów, Śnieżkę, mierzącą 1602 m n.p.m. Do przejścia mam około 31 kilometrów z metą w Karpaczu.

Najpierw żółtym szlakiem podchodzę pod górę, spokojne, równo, potem coraz więcej kamieni pod nogami, ale cisza i wstający sierpniowy poranek dają wiele radości z marszu. Zza mgły przebija się słoneczko. Powoli zbliżam się do Kukułczych Skał, by następnie dotrzeć

do Schroniska Pod Łabskim Szczytem położonego na wysokości 1168 m n.p.m. Schronisko powstało już w XVII wieku w czasie wojny trzydziestoletniej. Miało swoje upadki i wzloty. Po pożarze w 1915 roku postawiono tam prowizoryczną budę. Po II wojnie światowej budynek przejęło PTTK.

Schronisko Pod Łabskim Szczytem zlokalizowane jest na krawędzi Łabskiego Kotła przy skrzyżowaniu

kilku szlaków turystycznych. Stąd już tylko mały krok, by poczuć piękno Karkonoszy, otaczającą ich przyrodę. Chwilę odpoczywam, by wejść... w chmury. Mozolnie wdrapuję się na Grzbiet Karkonoszy, by po chwili zobaczyć wyłaniające się z chmur Śnieżne Kotły i budynek stacji przekaźnikowej, która działa tutaj od lat 60. ubiegłego stulecia.

Śnieżne Kotły - tu warto zatrzymać się na chwilę

Widoki na Śnieżne Stawki, jeziorka polodowcowe leżące na dnie Wielkiego Śnieżnego Kotła, o ile nie przysłaniają ich chmury bądź mgła, są bezcenne i niezapomniane. Można stać i podziwiać bez końca. Jeszcze lepiej się tam wybrać, ruszając na zielony szlak od Schroniska Pod Łabskim Szczytem w kierunku Rozdroża pod Wielkim Szyszakiem. Tym razem jednak piękno tego miejsca podziwiam z góry. Co prawda cumulusy co chwila przesłaniają widoczność, ale kilka minut wystarcza na napawanie się widokami.

Ruszam dalej Głównym Szlakiem Sudeckim im. M. Orłowicza oznaczonym kolorem czerwonym.

Mijam z prawej strony Wielkiego Szyszaka, czwarty szczyt Sudetów pod względem wysokości, mierzący 1509 m n.p.m i schodzę do Czarnej Przełęczy. Stamtąd do Śnieżki już tylko 14,5 km!

Czerwonym szlakiem pod Dom Śląski

Powoli, systematycznie maszeruję w stronę królowej Sudetów. Nie mogę się doczekać jej widoku, ale najpierw czekają mnie inne cuda natury, które znajdują się na czerwonym szlaku. Mijam Mužské kameny i Dívči kameny czyli Czeskie Kamienie i Śląskie Kamienie, dwa kolejne szczyty, na których znajdują się skałki i bloki skalne, tworzące niepowtarzalne formy.

Widoki w każdą stronę są niesamowite. Na Petrovce (1285 m n.p.m.) mijam nowo budowaną Petrovą Boudę, schronisko, które spłonęło w 2011 roku, prawdopodobnie w wyniku podpalenia. Przechodzę koło kolejnych schronisk – Spindlerova bouda i Odrodzenie, ale nie zatrzymuję się, ponieważ przede mną podejście na Małego Szyszaka i Tępy Szczyt. Odwracam się. Daleko za mną majestatyczna Szrenica, przed nią Wielki Szyszak. Po lewej stronie podziwiam wido-

czny w oddali zbiornik Sosnówka. Przede mną już kolejne atrakcje Karkonoszy. Na horyzoncie ponad kosodrzewinami widzę już Słonecznik. Za moment jestem na 1423 m n.p.m. koło najbardziej charakterystycznej formacji skalnej w całych Karkonoszach.

Ponad 12-metrowa, rozpoznawalna przez każdego turystę, widoczna z odległych miejsc Kotliny Jeleniogórskiej. Ja mam ją na do-

tknięcie ręki. Idę dalej, przyciąga mnie widok Śnieżki. Jeszcze szczyt w chmurach, ale większość kopuły mam jak na dłoni. Zanim jednak tam dotrę, mam przed sobą kilka ważnych punktów. Wypatruję na pn-zach. krańcach Rudaw Janowickich Gór Sokolich, bardzo charakterystycznych, bo ich dwa szczyty: Sokoliki i Krzyżna Góra, przypominają dwie dorodne... piersi. Za chwilę jestem już nad Wiel-

kim Stawem, a następnie nad Małym (polodowcowe jeziorka), skąd widok na Samotnię i Strzechę Akademicką. Przede mną cel marszu – Śnieżka. Coraz więcej ludzi na trasie, coraz ciaśniej na szlaku i tłok w okolicach Domu Śląskiego.

Przed południem na szczycie, a potem do Karpacza

Posłusznie ustawiam się w „kolejkę" i powolutku kroczę na szczyt. Jestem sporo przed południem.

Zajęło mi to nieco ponad 5 godzin. Śnieżka – królowa Sudetów zdobyta. Widzę pierwsze płatki śniegu, a dzieci w około krzyczą głośno – śnieg! Robię przerwę na niewielki posiłek, po nim pamiątkowe zdjęcie i schodzę w dół. Drogą Jubileuszową schodzę w stronę Domu Śląskiego, podziwiając Kocioł Łomniczki, którym zamierzam dostać się do Karpacza. Zaczyna padać grad, potem deszcz, robi się ślisko. Trochę zawiodłem się na moich trekkingach, bo te powinny nie ślizgać

się na kamieniach. Jest zupełnie odwrotnie. Tempo mojego marszu spada drastycznie, bo w pewnym momencie noga ześlizguje się z kamienia i o mały włos nie upadam ciut niżej. Niestety tak zamachnąłem się prawą ręką, że coś stało się w moim barku. Potem przez trzy dni biorę tabletki przeciwbólowe i nie mogę spać na prawym boku...

Wróćmy jednak do kotła. Staję przed symbolicznym cmentarzem ludzi gór. Chwila zadumy – Kukuczka, Rutkiewicz i wielu innych zginęło poświęcając się swojej pasji w górach na całym świecie.

Mijam Wodospad Łomniczki i zmierzam czerwonym szlakiem do Karpacza. Koło Schroniska Nad Łomniczką kończy żywot bateria w telefonie. Zapis gps urywa się na 27,64 km. Dochodzę do Karpacza. Niedaleko skoczni Orlinek jest moja meta. Wedle map przeszedłem około 31 km w niespełna 8 godzin.

W przyszłym roku chciałbym przejść całym grzbietem Karkonoszy od Polany Jakuszyckiej do Przełęczy Okraj z metą w Kowarach. Z pewnością będzie pięknie, a trasa równie ciekawa. [•]

fot. (7x) Michał Machnacki

Katastrofa kolejowa pod Świebodzicami

Rafał Wietrzyński

fot. Zordix

Wielki wypadek kolejowy, który miał miejsce w 1954 roku w pobliżu Świebodzic, jest jednym z najtragiczniejszych wydarzeń, które zapisały się w historii powojennego kolejnictwa na Dolnym Śląsku. Wówczas to, nieopodal miejscowej stacji kolejowej, zderzyły się ze sobą dwa pociągi - towarowy z osobowym.

Poranek 24 lutego 1954 roku wcale nie zapowiadał nieszczęścia, jakie niebawem miało się wydarzyć w Świebodzicach. Planowe kursy pociągów – pomimo zimowej pory – przebiegały dość sprawnie.

Tak było przynajmniej do czasu, kiedy przed godziną 10.00 wyruszył z Wałbrzycha w swój tragiczny kurs pociąg towarowy o numerze 3388. Problemy z feralnym parowozem, który ciągnął cały skład towarowy, zaczęły się zaraz po opuszczeniu stolicy Zagłębia Wałbrzyskiego.

Niezbyt sprawny układ hamulcowy sprawiał, że maszynista nie mógł w pełni kontrolować osiąganej przez maszynę prędkości, toteż około godziny 10.12 rozpędzony pociąg minął stację kolejową w Świebodzicach i wszedł tuż za nią w niebezpieczny ostry zakręt. Pech chciał, że akurat na tym wirażu parowóz ciągnący skład towarowy z Wałbrzycha zaczął mijać się z nadjeżdżającym z naprzeciwka pociągiem osobowym (nr 6631).

W tym miejscu nastąpił tragiczny finał podróży obu pociągów. W pewnym momencie wykoleiły się pierwsze wagony ze składu towarowego, które z ogromną siłą uderzyły w bok pociągu nadjeżdżającego od strony Jaworzyny Śląskiej.

Wedle relacji siła uderzeniowa miała być tak potężna, że ogromne kłody drewna, które były przewożone przez skład towarowy, z niszczycielską siłą zgniatały wagony osobowe.

W katastrofie tej zginęło 7 osób (3 pracowników kolei i 4 pasażerów), a około 40 zostało poważnie rannych (w tym 22 osoby znalazły się w stanie krytycznym i bardzo ciężkim). Niemal całkowitemu zniszczeniu uległo 5 wagonów osobowych oraz jeden z parowozów.

Wieści o głośnym wypadku koło dworca kolejowego bardzo szybko obiegły całe miasto. Wielu mieszkańców z trwogą kierowało się w stronę miejsca zdarzenia, chcąc zobaczyć skalę zniszczeń i być może

zaoferować pomoc. Jednak szczelny kordon wojska, jaki otoczył świebodzicką stację, uniemożliwiał skuteczne przedostanie się osób niepożądanych. O rozmiarach tragedii świadczyła liczba karetek pogotowia, które nieprzerwanie przejeżdżały przez miasto.

W akcji niesienia pomocy rannym i poszkodowanym w tym tragicznym wypadku brała udział m.in. Zofia Marzec-Nossel, która po latach tak wspominała ten dzień:

24 lutego 1954 roku zaczął się jak każdy. Tak jak codziennie, rozpoczęłam dzień pracy w przychodni przyzakładowej. Pracowałam tam zaledwie od pięciu miesięcy jako felczer.

Od początku mojej pracy szkoliłam drużynę sanitarną, składającą się z ok. 30 młodych kobiet i kilkunastu mężczyzn ochotników zarówno z Rafio, jak i z Fabryki Mebli. Nigdy nie pomyślałam, jak bardzo już wkrótce owo szkolenie będzie potrzebne, gdy tak blisko rozegra się straszliwa tragedia, o której nawet dziś, choć minęło 55 lat, opowiadać nie jest mi łatwo...

Około godziny 11.00 przechodziłam z Fabryki Mebli do Rafio. Do dworca kolejowego zbliżały się z przeciwnych stron dwa pociągi: pośpieszny z Warszawy i towarowy od strony Wałbrzycha. Na platformach pociągu towarowego leżały ogromne pnie drzew spięte łańcuchami. Oba pociągi mijały zakręt, gdy nagle owe potężne bale, uwolnione z zabezpieczeń, uderzyły z niebywałą siłą w wagony pociągu osobowego wypełnionego podróżnymi.

Widziałam to na własne oczy i obraz ten pozostanie ze mną na zawsze, bo widzę go wciąż dokładnie, choć minęło ponad pół wieku. Wagony towarowe stawały pionowo, jak lekkie zabawki. Pnie drzew toczyły się po torowiskach, inne uderzały w wagony osobowe, przecinając wagon sypialny, I klasy i częściowo trzeci wagon, niszcząc lokomotywę. Te wagony stały jakby wciśnięte w ziemię, a wejścia do nich znalazły się na poziomie chodników peronu,

boczne ściany zostały oderwane i zmiażdżone. Pasażerowie, którzy stali na korytarzu, zginęli. W przedziałach ławki z prawej i lewej strony były prawie złączone ze sobą. Wszyscy ludzie znajdujący się w przedziałach doznali otwartych złamań i bardzo ciężkich obrażeń. Słyszałam rozpaczliwe, pełne bólu krzyki ludzi. Wbiegłam do zakładu i natychmiast rozpoczęłam organizowanie akcji ratunkowej, w czym pomogła ogromnie ówczesna Pani dyrektor.

Gdy z drużyną ratowniczą dobiegliśmy na miejsce katastrofy, część rannych została już wyniesiona i ułożona obok rozbitych wagonów. Zabitych ułożono w szeregu. Widok był makabryczny. Ofiary katastrofy wynosili młodzi mężczyźni, jednakowo ubrani. Gdy zorientowali się, że przybywa pomoc, wszyscy zniknęli cicho i nie wiadomo kiedy. Dopiero potem okazało się, że byli to więźniowie lotnicy, których wieziono do pracy w kopalni uranu w Kowarach.

Pasażerowie z nieuszkodzonych wagonów udali się (jak mi potem powiedziano) do kościoła, aby podziękować Bogu za uratowanie życia.

Trzeba było natychmiast zająć się rannymi. Leżeli na ziemi, wszyscy z otwartymi ranami, z wystającymi ułamkami kości, w pozycji podkurczonych nóg. W takich pozycjach musieli być wyciągani spomiędzy zaciśniętych ławek, które ich okaleczyły. Do ułożenia ich na twardym podłożu użyliśmy drewnianych palet tzn. surowych drzwi montowanych w sąsiednich zakładach mebli, znoszonych przez robotników. Trzeba było też jak najszybciej zatamować krwotoki z rozerwanych tętnic. Nie mieliśmy jednak odpowiednich opasek. Użyłam do tego pończoch, które kobiety z Rafio zdjęły z nóg.

Pamiętam jakby to było wczoraj mężczyznę biegnącego z naręczem damskich pończoch. Co 10-15 minut podchodziłam do rannych, by zwolnić ucisk, umożli-

wić przepływ krwi. Przypominały mi o tym pielęgniarki zatrudnione w Fabryce Mebli i Rafio. Każdy z rannych otrzymywał leki przeciwbólowe i uspokajające, które dostarczała apteka ze Świebodzic.

Po 30-40 minutach zaczęły przyjeżdżać karetki, było ich bardzo dużo. Stały w długim szeregu, czekając na swoją kolej, ale żaden z lekarzy nie wysiadł z samochodu i nie pomógł mi przy rannych. Do dziś nie wiem dlaczego, tak jak nie wiem, dlaczego nie uzyskałam pomocy od dwóch lekarzy, ordynujących wówczas w Świebodzicach.

Akcja ratownicza zakończyła się około godziny 16. Ranni odjechali do pobliskich szpitali, każdy przygotowany do transportu, unieruchomiony na drewnianej palecie, z opaską uciskową poniżej krwawiących ran podudzi, z wałkiem pod podkurczonymi nogami. Te wałki kobiety zrobiły z konopi dostarczonych z pobliskiego Defalinu i tkanin z Rafio. Jeszcze raz potrzeba stała się matką wynalazków. Zabitych przewieziono do kaplicy cmentarnej.

Zapadał wczesny zmierzch i po pewnym momencie zorientowałam się, że jestem sama, jakby na polu bitwy. Podszedł do mnie jakiś kolejarz i zapytał, czy chcę zobaczyć lokomotywę?

Poszłam za nim i ujrzałam widok tak przerażający, że nie mogę go opisać. Mogę tylko powiedzieć tyle, że lokomotywa została zgnieciona jak harmonijka, a przecież wewnątrz też byli ludzie.

Na miejscu tragedii nikogo już nie było. Wracałam do domu na ulicę Pstrowskiego (dziś Skłodowskiej), w ubraniu przesiąkniętym całkowicie ludzką krwią. Nikt nie okrył mnie nawet prześcieradłem. Nie poszłam do mojego mieszkania, ale do sąsiadek, Pani Zofii i Lucyny Szable. One przygotowały mi kąpiel i rozebrały ze sztywnego od ludzkiej krwi ubrania, które potem spalono.

Dopiero druga kąpiel pozwoliła mi się dokładnie umyć, pierwsza woda była czerwona od krwi. Potem zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie było przygotowane łóżko ze świeżą pościelą i termoforem pod kołdrą. W pokoju było ciemno, odchyliłam kołdrę i usiadłam na tym termoforze i wydało mi się, że usiadłam na głowie człowieka, którą odciętą od tułowia trzymałam w rękach na peronie. Krzyknęłam przeraźliwie i wtedy dopiero dostałam ataku płaczu. Myślę, że miałam szczęście, gdyż ze łzami spłynęło całe niewyobrażalne napięcie, w jakim byłam od momentu zetknięcia się z ofiarami wypadku.

Dziś chyba jedyną pamiątką po tamtym tragicznym wypadku jest charakterystyczna nazwa zakrętu kolejowego, jaki znajduje się na około 57,5 km trasy Wrocław-Wałbrzych. Określany jest mianem zakrętu śmierci, co dla wielu najstarszych mieszkańców naszego miasta na zawsze będzie się kojarzyć z dramatycznym epizodem z 1954 roku.

* * *

Tragedia kolejowa z 1954 roku. była bez wątpienia największym tego rodzaju wypadkiem, jaki kiedykolwiek rozegrał się w okolicach Świebodzic. Jednak z zachowanych „Dzienników wypadków" przechowywanych w Jaworzynie Śląskiej wynika, że podobnych kolizji na dworcu PKP w naszym mieście (bądź w jego pobliżu) było znacznie więcej.

Kolejny groźny wypadek na stacji kolejowej w Świebodzicach miał miejsce 23 lutego 1963 roku, kiedy to na torze nr 2 doszło do najechania pociągu towarowego na inny pociąg towarowy (tutaj również zawinił układ hamulcowy). W wyniku tego zdarzenia rannych zostało 3 pracowników kolei, uszkodzono 1 parowóz, wykolejeniu i uszkodzeniu uległo 11 wagonów. Straty materialne oszacowano wówczas na prawie 1 milion złotych.

Inny groźny wypadek wydarzył się niespełna rok później – 16 lutego 1964 roku o godz. 1.15 w nocy. Na trasie Jaworzyna Śląska – Świebodzice (około 50 km drogi kolejowej Wrocław – Wałbrzych) doszło

do najechania lokomotywy na tył innego pociągu.

Uszkodzone zostały wówczas 2 parowozy i 8 wagonów, zaś straty oszacowano na 539 130 złotych. W wypadku tym rannych zostało również 6 pracowników kolei. Przeprowadzone dochodzenie w tej sprawie wykazało winę dyżurnego ruchu (nierozwaga w kierowaniu ruchem pociągów).

W sumie w latach 50. i 60. XX wieku w Świebodzicach odnotowano co najmniej kilkadziesiąt kolizji torowych i innych zdarzeń kolejowych (np. w 1962 roku wypadki na kolei w Świebodzicach pochłonęły 3 ofiary śmiertelne). Dopiero gdy w latach 70. XX wieku znacznie zaostrzono przepisy i podniesiono kary dla nieostrożnych pracowników kolei, sytuacja bezpieczeństwa na torach znacznie się poprawiła.

Źródła:
1. R. Wietrzyński: *Nieznana historia Świebodzic*, Świebodzice 2010.
2. R. Wietrzyński: *Największe tajemnice Świebodzic*, Świebodzice 2005.

Poczekalnia na dworcu w Świebodzicach / fot. Lichen99 (cc-by-sa)

fot. Wojciech Głodek

Kongres Turystyki Polskiej w Świdnicy

W dniach 12-14 października 2016 roku odbył się w Świdnicy Kongres Turystyki Polskiej. Patronat medialny na tą imprezą sprawował "Przystanek Dolny Śląsk".

Podczas trzech dni obrad w ramach 5 bloków tematycznych wystąpiło 104 panelistów, którzy przedstawili 55 prezentacji. 24 sesje kongresowe odbywające się w kilku lokalizacjach na terenie miasta zgromadziły 834 uczestników.

Kongres Turystyki Polskiej to był niewątpliwie jedną z najważniejszych w tym roku debat publicznych na rzecz rozwoju turystycznego kraju.

Zasadniczym celem zgromadzenia w jednym miejscu i czasie przedstawicieli branży turystycznej, organizacji turystycznych i przedstawicieli administracji rządowej i samorządowej była próba stworzenia platformy stałego porozumienia i integracja środowisk działających na rzecz turystyki. Uczestnicy debatowali nad wyzwaniami stojącymi przed turystyką i jej trendami rozwojowymi. Dokonali też oceny funkcjonowania sektora usług turystycznych w Polsce.

- Jestem zadowolona z organizacji tego wydarzenia w naszym mieście. Kongres to nie tylko merytoryczne dyskusje, to także wymierne korzyści dla Świdnicy. Przyjechali do nas m.in. przewodnicy turystyczni, właściciele biur i agencji turystycznych, a także samorządowcy, którzy w rozmo-

fot. Wojciech Głodek

wach ze mną podkreślali, że czuli niedosyt, że w ciągu 3 dni nie zdążyli zobaczyć miasta i że z pewnością tu wrócą. Pokazaliśmy się z jak najlepszej strony i jestem przekonana, że o Świdnicy będą jeszcze mówić długo i dobrze – powiedziała prezydent miasta, Beata Moskal-Słaniewska.

Dodajmy, że stanowiące niemałe wyzwanie logistyczne przedsięwzięcie zostało bardzo dobrze przygotowane i pozwoliło na zaprezentowanie Świdnicy również jako miasta, w którym można śmiało lokować można ważne i duże wydarzenia branżowe. Trudno cokolwiek zarzucić stronie organizacyjnej kongresu, co jest wielkim osiągnięciem Organizatorów.

W kongresie uczestniczyli między innymi podsekretarz stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki Dawid Lasek, przedstawiciele regionu: wicewojewoda dolnośląski Kamil Krzysztof Zieliński i marszałek województwa dolnośląskiego Cezary Przybylski, prezes Polskiej Izby Turystyki Paweł Niewiadomski, prezes Polskiej Izby Turystyki Rzeczpospolitej Polskiej Marek Ciechanowski, prezes Polskiej Organizacji Turystycznej Wojciech Fedyk, prezes Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej Paweł Wróblewski.

Skrót wszystkich najważniejszych ustaleń pokongresowych publikujemy specjalnie dla Was również w tym numerze.

Jolanta Kluba
Przystanek Dolny Śląsk

fot. Wojciech Głodek

Czy Kongres Turystyki Polskiej spełnił pokładane w nim nadzieje?

W dniach 12-14 października 2016 w Świdnicy odbył się Kongres Turystyki Polskiej, długo wyczekiwany i przygotowywany przez rok, począwszy od konferencji w październiku 2015.

Czy wydarzenie to spełniło pokładane w nim nadzieje? Postawiliśmy sobie ważne dla środowiska turystycznego w Polsce cele: dokonanie oceny funkcjonowania naszego sektora, wypracowanie wytycznych dla polityki turystycznej w Polsce i wskazanie kierunków rozwoju polskiej turystyki.

W Kongresie Turystyki Polskiej uczestniczyło ponad 800 osób, przedstawicieli samorządu turystycznego, terytorialnego, organizacji turystycznych i oczywiście samych przedsiębiorców turystycznych. Nielicznymi obserwatorami obrad byli przedstawiciele rządu i parlamentu.

Do debaty nad stojącymi przed nami wyzwaniami przystąpiliśmy z mało optymistyczną diagnozą. Duże rozproszenie przedsiębiorców turystycznych i brak poczucia integracji, skomplikowane i niestabilne przepisy prawa, słaby ekonomicznie i zatomizowany samorząd gospodarczy w turystyce, słabe marki turystyczne, niski poziom komercjalizacji produktów turystycznych to najważniejsze bariery rozwoju polskiej turystyki.

Debata o przepisach prawnych i finansowych zajęła ważne miejsce w programie kongresu. Za szczególnie istotne uczestnicy uznali wdrożenie dyrektywy 2015/2030 o imprezach turystycznych i powiązanych usługach turystycznych. Implementacja dyrektywy ma się zakończyć do 1 stycznia 2018 roku i ma określić zakres i poziom ochrony nabywców imprez i powiązanych usług turystycznych.

Dyrektywa pozostawia państwom członkowskim swobodę między innymi w kwestii objęcia jej zakresem agentów turystycznych. Kongres nie sformułował w tej

sprawie ostatecznych wniosków, co potwierdza, że wdrożenie tej dyrektywy w naszym kraju przysporzy wiele kontrowersji i problemów (w sąsiednich Niemczech projekt wdrożenia dyrektywy napotkał na ostry sprzeciw branży turystycznej). Dlatego apelujemy do Ministra Sportu i Turystyki o jak najszybsze przygotowanie projektu ustawy i rozpoczęcie szerokich konsultacji branżowych.

W wielu wystąpieniach podczas kongresu przejawiało się zjawisko

fot. Wojciech Głodek

„ekonomii dzielenia się". Uczestnicy podkreślali tutaj, że nowe technologie i bardzo dynamiczny rozwój tego zjawiska, szczególnie w zakresie udzielania noclegów, ujawniło istotne luki prawne.

Dlatego kongres wnioskuje o podjęcie szybkich prac legislacyjnych, zmierzających do jasnego określenia rzeczowego i wartościowego, co jest „ubocznym zajęciem zarobkowym", a co już działalnością gospodarczą.

Społeczne przyzwolenie na wynajmowanie pokoi i mieszkań bez umowy powoduje, że wiele osób pod pretekstem „dzielenia się" prowadzi regularną działalność. Od platform internetowych wymiany dóbr i usług w systemie „dzielenia się" możemy wymagać informacji o zakresie i rozmiarach działalności tych osób, celem ustalenia obowiązku podatkowego.

W kontekście potrzeby zmiany ustawy o usługach turystycznych kongres podjął dyskusję na temat standaryzacji usług turystycznych, szczególnie usług noclegowych. Funkcje standaryzacji przejmują obecnie systemy analizujące opinie i poziom zadowolenia użytkowników. Kongres stoi jednak na stanowisku, że organy państwowe powinny pozostawić w swojej gestii określenie minimalnych wymagań rodzajowych dla obiektów hotelarskich.

Jednym z ważnych problemów zarówno w skali krajów Unii Europejskiej jak i Polski jest zapewnienie jednolitej interpretacji przepisów regulujących opodatkowanie podatkiem VAT działalności turystycznej. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest wydawanie różnych interpretacji dotyczących opodatkowania VAT tych samych usług turystycznych przez różne uprawnione do tego organa podatkowe a także przez sądy.

Kongres stoi na stanowisku, że istnieje pilna potrzeba zmiany ustawy o podatku od towarów i usług VAT w tym zakresie i wprowadzenia precyzyjnych definicji.

Kongres również wnioskuje o nadanie opłacie miejscowej charakteru opłaty turystycznej, związanej z pokrywaniem przez gminy kosztów związanych z przyjmowaniem turystów i uwolnionej od warunków środowiskowych odwiedzanej gminy.

Potrzebę debaty o samorządzie turystycznym w Polsce zamanifestowało 13 organizacji, które włączyły się w przygotowania i realizację Kongresu Turystyki Polskiej, były to nie tylko izby gospodarcze, ale także stowarzyszenia i federacje. Jednak nie wszystkie organizacje turystyczne przyłączyły się do debaty, wielość tych organizacji w Polsce wynika z dynamicznego rozwoju turystyki i potrzeby zadbania o interesy różnych segmentów turystyki.

I ten trend się nie zmieni, poszczególne grupy branżowe będą tworzyć swoje organizacje, gdyż izby gospodarcze chcąc zachować interdyscyplinarność nie stworzyły odpowiednich warunków dla rozwoju komisji branżowych. Ale w państwie demokratycznym nie można oczekiwać, że przedsiębiorców będzie reprezentować jedna duża organizacja, w dodatku do której przynależność będzie obowiązkowa.

Kongres nie odniósł się do kwestii, czy przynależność do samorządu gospodarczego w Polsce powinna być obowiązkowa czy dobrowolna. Natomiast jednoznacznie stwierdzono, że nie można zarzucać samorządowi turystycznemu różnych stanowisk poszczególnych organizacji i wykorzystywać tego przeciwko branży.

Nie można zarzucać, że samorząd turystyczny reprezentuje zaledwie kilkanaście procent przedsiębiorców w Polsce, gdyż jest to nieprawdą. Samorząd turystyczny reprezentuje wszystkich przedsiębiorców prowadzących działalność gospodarczą w sferze turystyki, bo brak przynależności do samorządu gospodarczego nie jest jednoznaczne ze sprzeciwem wobec prowadzonych przez ten samorząd działań. Wręcz odwrotnie, przedsiębiorcy niezrzeszeni deklarują, że korzystają z działalności podejmowanej przez samorząd turystyczny, ale ze względów ekonomicznych nie przynależą do żadnej organizacji. I z tego wynika słabość samorządu turystycznego, brak wystarczających środków finansowych stwarza niekorzystne warunki prowadzenia działalności na rzecz swoich członków i wszystkich innych przedsiębiorców. Rozwiązaniem tych problemów mogłoby być delegowanie zadań samorządu terytorialnego do samorządu gospodarczego, na

przykład przekazanie funkcji kontrolnych czy promocyjnych.

Problematyka zarządzania promocją turystyczną skupiła bardzo duże zainteresowanie uczestników kongresu. Po 15 latach funkcjonowania systemu POT-ROT-LOT możemy precyzyjnie zdiagnozować status tych organizacji, jak i ich relacje z jednostkami samorządu terytorialnego i samorządem gospodarczym. Wiemy jaka jest forma organizacyjno-prawna ROT-ów czy LOT-ów, w jaki sposób są finanso-

fot. Wojciech Głodek

wane, czego konsekwencją jest uzależnienie promocji od samorządu terytorialnego.

Niestety deprecjacja roli branżowych organizacji pozarządowych i przedsiębiorców w zarządzaniu promocją doprowadziła do niskiego poziomu komercjalizacji produktów turystycznych. I to należy zmienić.

Kongres nie kwestionuje kluczowej roli ROT-ów w zarządzaniu promocją i informacją turystyczną w regionach, jak i prowadzeniu badań rynku turystycznego, ale kreowanie produktów turystycznych i ich komercjalizacja powinny być kompetencją LOT-ów i innych branżowych organizacji pozarządowych, których statutowymi zadaniami są promocja i komercjalizacja produktów turystycznych. Należy określić zasady współpracy pomiędzy tymi organizacjami, jak i podział kompetencji, aby uniknąć dublowania zadań i wypracować spójne kierunki działania. Potrzebne są systemowe decyzje na temat kluczowych obszarów rozwoju turystyki w Polsce. Potrzebny jest dostęp do wiedzy o charakterystyce behawioralnej turystów jak i wyników „big data analytics".

Turystyka to jeden z bardzo istotnych sektorów polskiej gospodarki o interdyscyplinarnym charakterze funkcjonowania. Niestety obecnie obserwujemy ograniczanie turystyki do resortu sportu i turystyki, co jest błędnym postępowaniem, bo turystyka ma wpływ na politykę społeczną, edukacyjną, kulturalną, transportową, infrastrukturalną, rolniczą czy zdrowotną naszego kraju. Jeśli chcemy dążyć do zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego, nie możemy zawężać postrzegania turystyki.

Problem aktywności turystycznej młodzieży jest ważnym wyzwaniem nie tylko dla środowiska turystycznego, ale przede wszystkim dla administracji rządzącej. Kongres apeluje o podjęcie szerokiej międzyresortowej debaty o turystyce, aby nie stała się ona domeną wyłącznie wirtualnego świata.

Wszystkie wnioski z Kongresu Turystyki Polskiej i wytyczne dla polityki turystycznej Polski zostaną ujęte w publikacji pokongresowej, która ukaże się w grudniu br.

Anna Jędrocha
Sekretarz Komitetu Organizacyjnego KTP

Odkryj Dolny Śląsk!

Sudeckie schroniska turystyczne cz. II i II
Bernard Kopiec

Nakładem autora
2013

ISBN: 978-83-935534-8-8
224 strony, 170x240 mm
oprawa miękka

Sudeckie schroniska turystyczne są wyjątkowe pod wieloma względami. Od dawna turystów zaskakuje ich liczba, jednak nie przechodzą obok nich obojętnie nie tylko dlatego, że jest ich tak wiele. Budzą zaciekawienie architekturą, zaskakują detalami, starannym wykończeniem, czarują pięknym położeniem przyciągając kolejne pokolenia wędrowców i stają się obowiązkowymi punktami na mapie sudeckich spacerów.

Pozostają pod ich urokiem także rozliczni badacze, regionaliści i przewodnicy, toteż co jakiś czas na księgarskich półkach pojawiają się różne publikacje poświęcone tym budynkom. Całą serię swoich książek poświęcił im Bernard Kopiec – miłośnik regionalnej historii, zauroczony pięknem dolnośląskich gór Górnoślązak z urodzenia. O pierwszej części serii już pisaliśmy, dzisiaj natomiast chcemy zapoznać Was z częścią II i III. Zapraszamy do schronisk w Karkonoszach, Rudawach Janowickich, Górach Kaczawskich i Górach Kamiennych.

Publikację rozpoczyna przedmowa Autora, po której następuje opis poszczególnych schronisk. Opisy nie są długie, to raczej niewielkie notatki informujące o historii i stanie obecnym obiektu, zawsze uzupełnione o przedwojenną nazwę oraz określenie wysokości, na której leżą, kończące się zwykle podaniem adresu, pod którym można je znaleźć. Zwykle, bo przecież nie wszystkie z nich istnieją także dzisiaj.

Prawdziwe jednak bogactwo publikacji to fotografie, pocztówki i ryciny, których Autor umieścił całkiem sporo. Pokazują miejsce nam znane i te, których już dzisiaj nie ma;

pozwalają rozpoznać zarys obiektów, które współcześnie wyglądają zupełnie inaczej lub przeciwnie – ukazują, jak niewielkie zmiany zaszły w danym miejscu mimo upływu czasu.

Książka to swego rodzaju zestawienie budowli służących turystom, przygotowana w oparciu o ogólnodostępne materiały, których spis umieścił Autor na końcu. Jest wśród nich sporo przedwojennych wydawnictw niemieckich, ale też już bardziej nam współczesne publikacje, wśród nich te autorstwa legendarnego Tadeusza Stecia i nieodżałowanego Krzysztofa Mazurskiego.

Trudno nie docenić zaangażowania Bernarda Kopca w poszukiwanie informacji o sudeckich schroniskach i zmierzenie się z zadaniem ich inwentaryzacji. Po wielu działających jeszcze w 1944 i 1945 dzisiaj nie został już nawet ślad, tym bardziej zauważyć więc należy ogrom wykonanej pracy.

W przedmowie pyta Autor sam siebie: „Czy to już są wszystkie schroniska opisywanego regionu?", by niezwłocznie dodać: „To trudno mi odpowiedzieć. Szczególnie o schroniskach, które działały przed pierwszą wojną światową, nie zachowały się żadne informacje ani zdjęcia." Może więc Wy możecie do listy Autora coś jeszcze dorzucić? Zasugerować? Podpowiedzieć?

Jeśli chcecie mieć na wyciągnięcie ręki czarowny świat sudeckich schronisk, jeśli od czasu do czasu chcielibyście zajrzeć do miejsc, o których dzisiaj niewiele osób pamięta, zobaczyć ten niezwykły świat, poszukajcie publikacji Bernarda Kopca o schroniskach w Sudetach. Rzeczowa, a jednak nostalgiczna – gorąco polecamy! [JK]

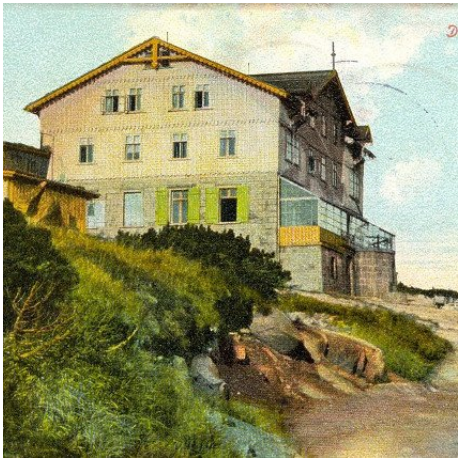

Czy wiesz, że...

...Riesengebirgsverein (Towarzystwo Karkonoskie), które powstało w 1880 miało swoje oddziału nie tylko na obszarze Karkonoszy?

Największy stan osobowy Riesengebirgsverein wyniósł ponad 17 tysięcy osób. Istniało wtedy prawie 100 sekcji, a oddziały istniały nie tylko w niemieckich (wtedy) miastach takich jak Wrocław, Zielona Góra, Szczecin czy Poznań, ale nawet w Nowym Jorku! To z inicjatywy Riesengebirgsverein wybudowano w 1905 roku istniejącą do dziś Drogę Jubileuszową prowadzącą na Śnieżkę; założono muzeum, które po wojnie przejęła polska administracja tworząc działające do dzisiaj Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze; wydawano też magazyn "Der Wanderer im Riesengebirge" (dosł. Turysta w Karkonoszach). Po wojnie RGV odrodziło się w Niemczech i do dziś działa w Bambergu.

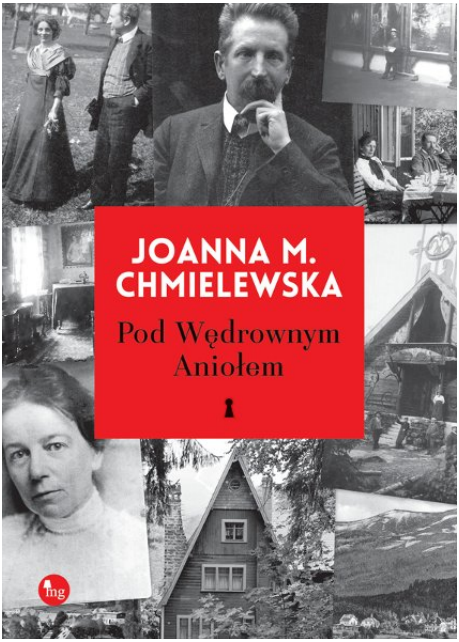

Pod Wędrownym Aniołem
Joanna M. Chmielewska

Wydawnictwo Mg
2016

ISBN: 978-83-7779-356-5
304 strony, 145x205 mm
oprawa twarda

Ile razy wracając z górskiej wycieczki stwierdzaliście, że najlepszym wyjściem byłoby pozostawić swoje dotychczasowe życie, dokonać małej zmiany lub zmiany rewolucyjnej i zamiast spędzać pół życia w biurowcu w centrum zatłoczonego, pełnego spalin miasta, poprowadzić niewielki górski pensjonat, wędrować, poznawać i cieszyć się życiem?

Ile razy spoglądając przez swoje okna w okna sąsiadów, kątem oka mijając kolejny budujący się właśnie apartamentowiec, mieliście ochotę na przeprowadzkę w miejsce, w którym będzie można oddychać, a pijąc poranną kawę spoglądać na drzewa, kwiaty, góry i chmury zamiast na palących na balkonie sąsiedniego bloku pierwsze poranne papierosy studentów?

Ile razy wreszcie myśleliście o tym, że skoro i tak pracować trzeba od rana do nocy, by spłacić mieszkanie, samochód i parę drobiazgów, warto byłoby robić coś, co przynosi nie tylko pieniądze, ale i zadowolenie?

To wszystko miało miejsce w pewnym momencie życia bohaterki i zarazem Autorki książki „Pod Wędrownym Aniołem", która znane, bezpiecznie i względnie ustabilizowane życie zamieniła – trochę za namową męża – na coś, z czym nigdy wcześniej nie miała do czynienia: prowadzenie pensjonatu w Szklarskiej Porębie. Zanim jednak pensjonat zaczął nim być, trzeba go było kupić (i przejść wszystkie kredytowe perypetie), wyremontować i urządzić. I nauczyć się gościć turystów, bo to też nie taka całkiem prosta sprawa, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

Do tego jeszcze ludzie nowi, okolica nie do końca rozpoznana i gdzieś tam z tyłu głowy te ciągłe obawy... Ale za to przepiękne wschody i zachody słońca, urok Szklarskiej Poręby, cudowny klimat, smak nowych znajomości i w końcu - odkrywanie siebie.

Joanna M. Chmielewska, bo o niej to mowa (nie, nie, to nie ta Chmielewska, co wykreowała postać Lesia, wprowadziła nas w tajniki wyścigów konnych i namiętnie podróżowała do kraju Karoliny; spod jej pióra wyszła m.in. „Sukienkę w różowe słonie" i „Męża zastępczego" oraz trochę książek dla dzieci), napisała bardzo osobistą i bardzo prawdziwą książkę o ryzyku i zmianie. To taki swoisty pamiętnik, w którym Autorka opowiada nam ze szczegółami o wszystkich problemach i trudach, ale dzieli się też szczęściem i sukcesami.

Jest też w książce sporo o samej Szklarskiej Porębie, szczególne zaś miejsce zajmują postaci artystów tam żyjących i tworzących. Autorka przybliża nam losy m.in. braci Hauptmannów oraz Jana Sztaudyngera.

Książkę każdy odczyta po swojemu. Dla jednych będzie po prostu pamiętnikiem z okresu życiowej zmiany Autorki, czasu wrastania w nowe miejsce i oswajania go. Dla innych stanowić będzie opowieść o Szklarskiej Porębie i jej mieszkańcach – obecnych i tych, którzy już odeszli, a którzy z jakiegoś powodu pozostali w pamięci. Dla jeszcze innych będzie to dowód na to, że nie ma rzeczy niemożliwych, że jeśli się chce bardzo mocno, to wszystkiego można dokonać i nigdy nie jest za późno na zmiany.

„Pod Wędrownym Aniołem" można po prostu przeczytać, odłożyć i może przez chwilę pozazdrościć bohaterom odwagi, samozaparcia i siły. Ale można się nią zainspirować i samemu zrobić krok, na który od dawna miało się wiele ochoty, lecz ciągle za mało odwagi.

Gorąco polecamy! [JK]

Czy wiesz, że...

..."Żelaźni ludzie" Zbigniewa Frączkiewicza, rzeźbiarza ze Szklarskiej Poręby, powstają już od ponad 30 lat?
Artysta prezentuje swoją twórczość na wystawach na terenie Polski i Europy pod hasłem "Wędrówki Żelaznych Ludzi". Są to metalowe posągi rzeczywistych wymiarów człowieka osadzone na granitowych postumentach. Jeśli nie "podróżują" po świecie, to można ich zobaczyć koło parkingu przy ulicy Kilińskiego w Szklarskiej Porębie.

Neo-Nówka Schody do nieba
Bielecki Radosław, Gawliński Michał, Żurek Roman w rozmowie z Krzysztofem Pyzią

Prószyński i S-ka
2016

ISBN: 978-83-8069-467-5
336 stron, 151x206 mm
oprawa półtwarda

Nie jest to z pewnością pierwszy znany i cieszący się ogromną popularnością kabaret z Wrocławia. Jednak dzisiaj mało jest osób, którym nazwa Neo-Nówka nic nie mówi. „Euro 2012", „Namiot Paciaciaków" czy przede wszystkim „Niebo" to skecze, które wszyscy znamy i które śmieszą nawet oglądane po raz kolejny. I choć przywykliśmy do obecności trójki panów z Neo-Nówki, trudno nam uwierzyć, że od powstania zespołu kabaretowego minęło już aż 16 lat!

Roman Żurek, Michał Gawliński i Radosław Bielecki porozmawiali na tematy wszelakie z Krzysztofem Pyzią - autorem m.in. bestsellerowego wywiadu rzeki z Wojciechem Pokorą – i wyszła z tego całkiem niezła książka, momentami śmieszna, momentami wzruszająca, czyli właściwie taka, jak być powinna. Jest wiele anegdotek, elementy biograficzne, zabawne historie z początkowego etapu działalności i kulisy powstawania kabaretowych żartów.

Utrzymana w lekkiej, kabaretowej konwencji książka, liczne fotografie i zapisy najciekawszych skeczów to przepis na udaną lekturę i dobrą zabawę. Polecamy! [JK]

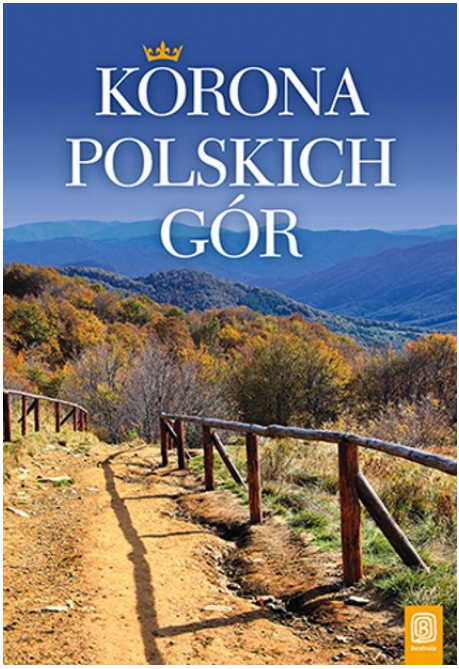

Korona Polskich Gór
Krzysztof Bzowski

Wydawnictwo Helion
2016

ISBN: 978-83-283-2869-3
751 stron, 180x250 mm
oprawa miękka

Wydawnictwo Helion, znane na rynku z ładnych i dopracowanych przewodników, ma wśród swoich najnowszych propozycji pozycję wyjątkową: pięknie wydany przewodnik po koronie polskich gór. Rozpoczynająca się praktycznymi informacjami dotyczącymi letniej turystyki pieszej, przez nieco dokładniejsze krajoznawcze dane na temat poszczególnych pasm górskich, wiedzie nas ta niewielka książeczka przez najważniejsze szczyty położone w dzisiejszych granicach Polski.

Opisy tras podzielone zostały na trzy części: takie, które zaprowadzą nas na szczyty powyżej 1500 m n.p.m., takie, którymi dotrzemy na szczyty, których wysokość sięga powyżej 1000, ale nie przekracza 1500 m n.p.m i wreszcie – nieprzekraczające 1000 m n.p.m.

Spotykamy tu sporo znanych miłośnikom Dolnego Śląska: Śnieżkę, Wielką Sowę, Szczeliniec, Chełmiec i Ślężę – i nie tylko.

Zaletą publikacji są dokładne mapki, szczegółowe informacje o czasie przejścia, długości, przewyższeniach oraz dane na temat dojazdu i miejsc noclegowych. Poza opisem jednej trasy, wskazywane są zawsze trasy alternatywne.

Estetyczny przewodnik w poręcznym formacie z ciekawymi i przydatnymi informacjami. Polecamy!

[JK]

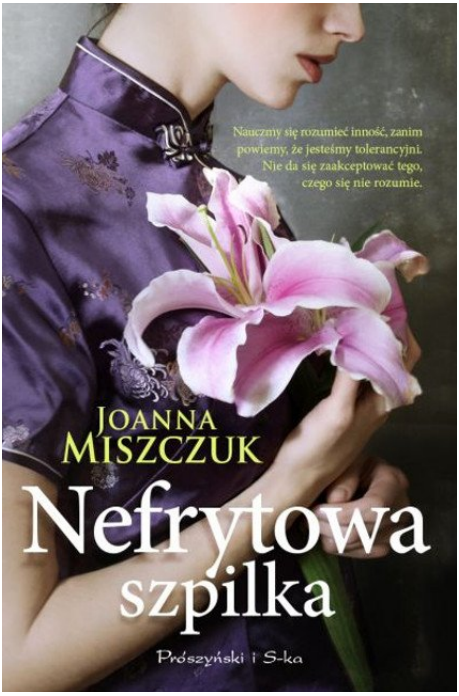

Nefrytowa szpilka
Joanna Miszczuk

Prószyński i S-ka
2016

ISBN: 978-83-8069-467-5
304 strony, 125x195 mm
oprawa miękka

Melania Robak, dziewczyna z bardzo biednej rodziny, dotknięta szeregiem nieszczęść – przedwczesną śmiercią matki, odrzuceniem przez ojca, który nie chciał się przyznać do nieślubnego dziecka oraz utraconą miłością – znajduje się na tym etapie życia, w którym może czuć się spełniona. Po latach trudnej nauki i ciężkiej pracy jest znanym i cenionym ekspertem od chińskiej sztuki meblarskiej i właścicielką świetnie prosperującej firmy zajmującej się sprzedażą antyków. Na co dzień mieszka we Wrocławiu i wydaje się nie rozpamiętywać tego, co minęło. Pewnej nocy jednak ze snu wyrywa ją dźwięk telefonu. Odbiera i słyszy w słuchawce głos, którego już słyszeć się nie spodziewała...

To początek i zarazem tło barwnej i magicznej opowieści, w której splatają się ze sobą różne światy i kultury. Obok bowiem świata powstałego dzięki wyobraźni Autorki mamy świat jak najbardziej rzeczywisty, bo w powieści częste są nawiązania do historii i rzeczywistych wydarzeń. Mamy też polską i chińską kulturę, opisywane ze znawstwem i jednocześnie wskazaniem tego, co na ich styku problematyczne. Różne doświadczenia, wartości i odmienny styl życia, ale jedna miłość – czy to może się udać?

Na pozór banalna fabuła wciąga i czaruje – pomysłowością, dopracowaniem szczegółów i urzekającymi opisami wiąż dla nas jeszcze egzotycznej chińskiej kultury. Konstrukcja fabuły, w której czas teraźniejszy miesza się z przeszłym – tym nieodległym

i tym sięgającym daleko wstecz historii, nie pozwala się nudzić i dynamizuje opowieść. Piękny i staranny język oraz mozaika skomplikowanych losów rodzinnych sprawiają, że od książki naprawdę trudno się oderwać.

Nie jest to pierwsza powieść Joanny Miszczuk. Przed „Nefrytową szpilką" były m.in. „Córki swoich matek", „Zalotnice i wiedźmy", „Matki, żony, czarownice", była też bardzo dobrze przyjęta „Wyspa". Czy najnowsza powieść jest wśród nich najlepsza? Też trudno ocenić, warto sięgnąć, porównać, samemu się przekonać. Z pewnością Autorka z każdą nową historią dojrzewa, co widać na kartkach książki i w postaciach głównych bohaterów.

Czy jest to opowieść o miłości, trudach rozstania, uczeniu się na błędach? Oczywiście, przede wszystkim jest to jednak książka o tak ważnej dzisiaj tolerancji i poszanowaniu dla inności z jednoczesnym wskazaniem, że zawsze warto tę inność poznawać. „Jak mam być tolerancyjna wobec czegoś, czego nie znam i nie rozumiem?" pyta Autorka na początku, by na kolejnych stronach książki pokazać, jak jest to istotne i potrzebne.

Joanna Miszczuk inności też miała okazję doświadczyć i ją poznać. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego mówiąca czterema językami mieszkała już we Francji, oczywiście w Polsce, obecnie zaś mieszka i pracuje w Berlinie. Pisze podobno od zawsze i mamy nadzieję, że pisać nie przestanie i zabierze nas jeszcze w kolejne magiczne miejsca i czasy. [JK]

Czy wiesz, że...

...przy Uniwersytecie Wrocławskim działa Instytut Konfucjusza?

Jest to jedna z ponad 480 takich instytucji działających na świecie. Pod nazwą Instytutów Konfucjusza, związaną z chińskim mędrcem i nauczycielem, kryje się idea propagowania chińskiego języka i kultury. Powstają one we współpracy z Chińskim Państwowym Biurem Międzynarodowej Promocji Języka Chińskiego (Hanban).

Pierwszy Instytut utworzono w Taszkiencie w 2004 roku, a pierwszy w Europie - w Sztokholmie w 2005 roku. We wrocławskim Instytucie można poznawać chińską kulturę i tradycje Państwa Środka, a przede wszystkim uczyć się języka chińskiego. Warto tu zaznaczyć, że językiem chińskim jako ojczystym posługuje się 1,4 miliarda ludzi, co czyni go najbardziej rozpowszechnionym językiem na świecie.

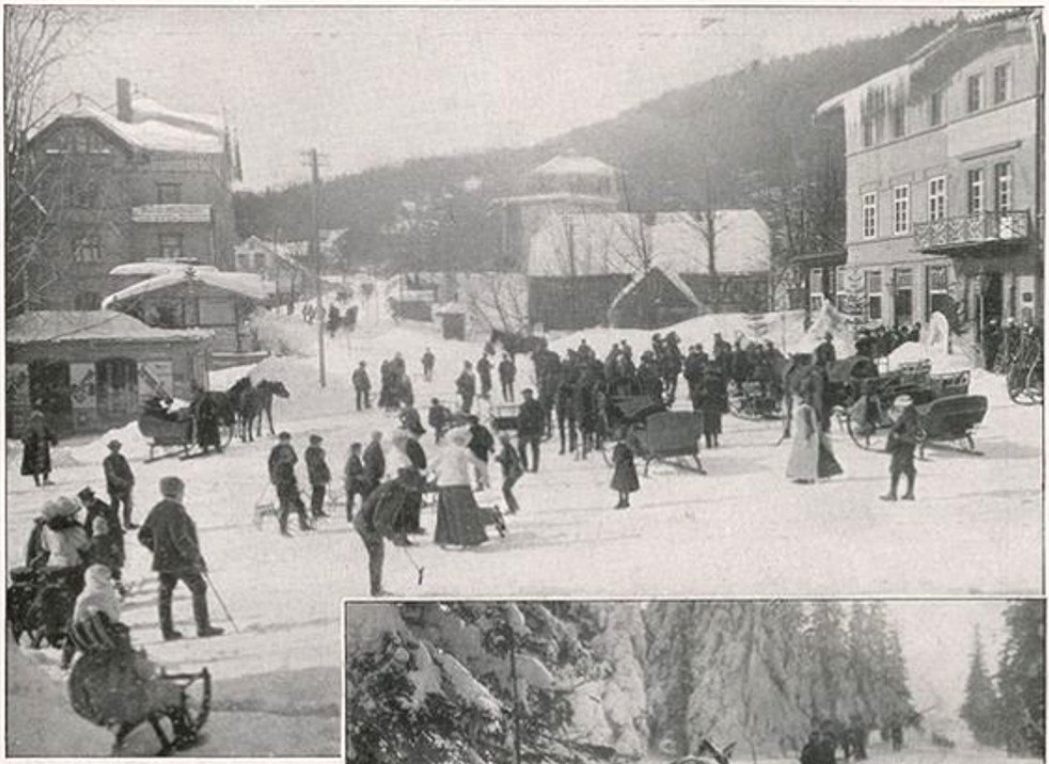

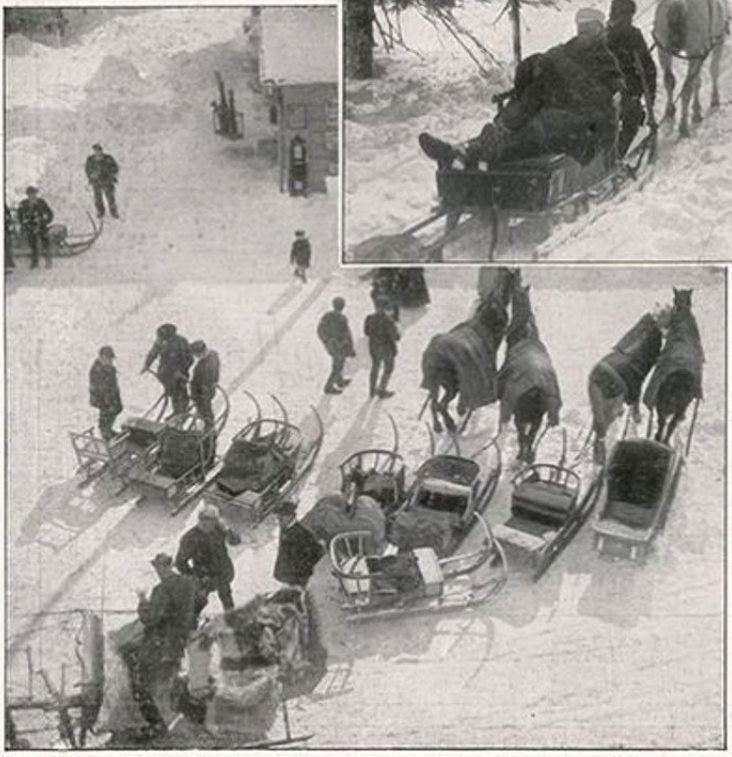

Ach to były zimy...

Ta na zdjęciach to akurat aż 107 lat temu.
Na tych zdjęciach pochodzących ze *Sport im Bild* z grudnia 1909 roku możecie zobaczyć jak bawili się na śniegu turyści przybywający do Szklarskiej Poręby na początku ubiegłego wieku. Możecie także spróbować rozpoznać te miejsca.

Możecie także przesłać nam zdjęcia ze swoich zim - najciekawsze opublikujemy:
redakcja@przystanekd.pl